ŁOWIEC POLSKI



51 ROK WYDAWNICTWA

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 3 (964) MARZEC 1949 R. CENA 60 ZŁ

MYŚLIWSKIE KONKURSY FOTOGRAFICZNE

Dla ożywienia i zaktualizowania strony ilustracyjnej „Łowca Polskiego" Redakcja ogłosiła w zeszycie grudniowym ub. r. myśliwski konkurs fotograficzny, specjalnie dla fotografów amatorów, z terminem nadsyłania zdjęć konkursowych do końca marca br.

Z uwagi jednak na to, że w czasach dzisiejszych tylko niewielka ilość myśliwych posiada należyty sprzęt fotograficzny, Redakcja postanowiła sięgnąć do źródła fotografiki zawodowej i w tym celu ogłasza

drugi KONKURS FOTOGRAFICZNY na tematy łowieckie, specjalnie dla fotografów zawodowych

Warunki obu konkursów są jednakowe. Przedmiotem zdjęć mogą być sceny z życia zwierzyny łownej, sceny z polowań, charakterystyczne krajobrazy terenów łowieckich, psy myśliwskie w pracy, ciekawe pokoty i trofea myśliwskie. Zdjęcia powinny być ostre, wykonane na papierze błyszczącym, w formacie nie mniejszym niż 9 x 12 cm, z napisem treści zdjęcia na odwrocie, względnie miejsca i czasu wykonania.

Fotografie powinny być nadsyłane seriami, zawierającymi najmniej 5 zdjęć (dla amatorów dopuszczalne jest nadsyłane i pojedyńczych zdjęć) i oznaczone godłem. Nazwisko autora należy podać w zamkniętej kopercie, opatrzonej tym samym godłem.

Jako nagrodę I wyznaczamy dla serii zawierającej najmniej 5 zdjęć, — 20.000 zł (dla pojedyńczych fotografii amatorów—5.000 zł), jako nagrodę II — 12.000 zł (dla pojedyńczych fotografii amatorów — 3.000 zł), jako nagrodę III — 8.000 zł (dla pojedyńczych fotografów amatorów — 2.000 zł).

Termin nadsyłania fotografii na konkurs upływa: dla amatorów — z dn. 1 kwietnia br., dla fotografów zawodowych — z dn. 1 maja br. Sąd konkursowy stanowić będzie Komitet Redakcyjny Łowca Polskiego.

REDAKCJA

Do Członków Polskiego Związku Łowieckiego

Cechą pozytywną obecnego życia jest należyta organizacja jego poszczególnych odcinków.

Cele i potrzeba istnienia Spółdzielni „Jedność Łowiecka" są szerokiemu ogółowi Kolegów Myśliwych dobrze znane i rozumiane.

Zwracamy się do Kolegów Myśliwych, członków PZŁ **z apelem do zapisywania się na członków Spółdzielni „Jedność Łowiecka".**

Obowiązkiem organizacyjnym każdego Członka PZŁ jest należenie do Spółdzielni „Jedność Łowiecka". Leży to także w interesie Kolegów Myśliwych, gdyż Spółdzielnia, która dotychczas nie czyniła znaczniejszych rozróżnień przy sprzedaży pomiędzy członkami i nieczłonkami, obecnie wprowadzi pierwszeństwo dla członków.

Zapisy przyjmują wszystkie oddziały Spółdzielni „Jedność Łowiecka".

ZARZĄD

Nasza okładka: „Głuszec w pieśni" — rys. S. Rozwadowski

ŁOWIEC POLSKI
ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 3 (964) 1 9 4 9 MARZEC



Fot. Z. Kowalski, układ art. mal. S. Rozwadowski

ZBIGNIEW KOWALSKI

DWIE TONY ZAJĘCY

Rozważania na tle akcji „H"

Ostatnie pędzenie szło od pagórkowatych wzniesień, uwieńczonych kępami świerkowych remiz na stokach, z wieżyczką pałacyku w Radgoszczy na najwyższym szczycie, ku płaskiej, niby dno miednicy, dolinie uprawnych pól nad rzeką Wełną.

Zmierzchało się przedwczesnym grudniowym mrokiem, jesienne mgły snuły się nisko ponad ziemią. Czarny rząd naganiaczy zrazu gubił się i rwał w falistościach terenu, aż wreszcie wypełzł, podobny do tyraliery pracowitych mrówek, na rozrzutnie szerokie, równe jak stół, szachownice zielonych ozimin i brunatnych podoryw.

Zające, podnoszące się z kotlin pojedyńczo, zaczęły teraz startować parami, po kilka kipiąc szarymi gro-

madkami ku nagance, ku skrzydłom, to znów zatrzymując się, przysiadając, stając słupka, kombinując i znów rwąc w tył, na boki, gdzie bądź, byle tylko nie ku groźnie milczącej i niepokojąco nieruchomej linii myśliwych.

Tymczasem tyraliera mrówek zbliżała się coraz bardziej, zmieniając się naprzód jakby w szereg maszerujących chrabąszczy, potem przypominając sztachety ruchomego płotu, aż wreszcie przybierając postać ludzkich sylwetek nadchodzącej obławy.

Kościany klekot kołatek, w zależności od zbliżającego się czy oddalającego od naganki tłumiku chodzących jak w karuzeli zajęcy, falował, wznosił się, to znów opadał, aż wreszcie urósł do równego, nieprzerwanego, jakby wybijanego na stu bębenkach równomiernego werbla.

Szaraki nie mogły już dłużej wytrzymać zacieśniającego się pierścienia ludzkiej sieci i naprzód jeden, potem drugi zdecydowały ruszać na przód, szukając przejścia. Do dalekich defilatorów zaczęły pukać naprzód na flankach, potem na całej linii podwójne strzały, często idące kolejno przez kilka stanowisk w ślad za mknącym jeszcze ciągle zającem.

Kilka stad kuropatw podniosło się ku górze i niby liście rzucone na wiatr przeszły niesforną gromadką z furkotem nad linią. Stadko polnych sarn, umęczone długim chodzeniem od naganki do myśliwych, przerwało się wreszcie ciężkim galopem przez skrzydło, dysząc ze zmęczenia i podrzucając zabawnie białymi talerzami na zadkach.

Teraz już i wszystkie zające powzięły decyzję. Pojedyńcze, pary, gromadki obierały owczym pędem kolejno jeden i ten sam kierunek i zaczęły walić ku linii myśliwych.

Rozpoczęła się palba niecierpliwa, gorączkowa na wszystkich stanowiskach jednocześnie. Szaraki kładły się, migając w ogniu białymi brzuchami w ostatnim koziołku; inne szły dalej chybione, niektóre za linią zwalniały, przysiadały, aż wreszcie chwiejąc się — padały na bok.

— Brawo! piękny dublet.

— Pilnuj z tyłu!

— Nie strzela się do trupa!

— Pilnuj!

Kanonada, która trwała kilka dobrych minut, zaczęła z lekka przygasać. Naganka podchodziła coraz bliżej. Coraz więcej chłopców z obławy niosło po dwa, ciągnęło po trzy, a czasem dygowało w obu rękach i po więcej zajęcy.

Jeszcze jeden i drugi kot dosiadujący do ostatniej chwili porwał się z podoryw i szarżował na linię myśliwych. Strzelano już jakby od niechcenia...

Długo grały sygnałówki, oznajmiające koniec miotu i koniec polowania. Wynik ostatniego pędzenia — 83 zające.

W dwie godziny później otrąbiony został pokot półtoradniowych łowów. Padło w 14 strzelb 466 zajęcy.

Kiedy patrzyłem na rozwieszone — na specjalnie przygotowanym rusztowaniu — długie szeregi jednolitych, jakby odlanych z jednej formy zajęcy, nie mogłem się powstrzymać od głośnej uwagi do stojącego obok mnie kolegi z Komitetu Wykonawczego Polskiego Związku Łowieckiego, Zbigniewa Korolkiewicza:

— Czy pamiętasz, jak dla naszego Komitetu urządzono reprezentacyjne polowanie w 1945 roku w Łosiu.

— Pamiętam, zabiliśmy wtedy 2 lisy i 2 zające.

— Pomyśl, dziś na rozkładzie 466 sztuk. Dwie tony zajęcy!

Tak! Jeszcze raz należy podkreślić, że na polowaniu, zorganizowanym w dniach 12 i 13 XII 1948 roku przez Centralny Zarząd Państwowych Nieruchomości Ziemskich w Poznaniu dla Komitetu Wykonawczego Polskiego Związku Łowieckiego, padło w zespole Żuchowo, w powiecie Wąbrzeźno województwa poznańskiego w 14 strzelb **czterysta sześćdziesiąt sześć zajęcy.**

* * *

W numerach przedwojennego naszego organu oficjalnego „Łowiec Polski“, zamieszczano w specjalnym dziale, dziś niestety zaniechane, krótkie kroniki polowań.

Ważki to był i cenny materiał te kroniki polowań. Ważki dla stwierdzenia możliwości eksploatacyjnej naszych łowisk, cenny dla cyfrowych rezultatów gospodarki łowieckiej.

Po powrocie z polowania w Żuchowie zacząłem odtwarzać niektóre znane mi kroniki polowań i notować inne zasłyszane. W pierwszej chwili przystąpiłem do tej pracy dla własnej ciekawości, potem zabrałem się do niej dla celów związkowych.

Kilka ciekawych i charakterystycznych kronik z mojego notatnika podaję poniżej:

5 i 6 listopada 1948 roku, polowanie urządzane przez Państwowe Nieruchomości Ziemskie w Zespole Ściborowice, województwa dąbrowsko - śląskiego. Strzelb 13, pogodnie, lekki przymrozek, opolowano 1.200 ha pól, 300 ha lasu, padło zajęcy 306 i 1 bażant.

3 i 4 I 1949 r., Koło Miłośników Łowiectwa, nadleśnictwo Dwukoły, leśnictwo Mostowo, województwo warszawskie — strzelb 16, odwilż, ciepło, opolowano 900 ha lasu padło 6 dzików, 5 lisów, 41 zajęcy.

7 listopada 1948 roku, Koło Otwockie im. Św. Huberta, nadleśnictwo Węgrów, leśnictwo Ruchna, woj. warszawskie — strzelb 16, odwilż, ciepło, opolowano 800 ha lasu, padło 5 dzików, 9 lisów.

15, 16 i 17 stycznia 1949 roku, Koło Myśliwskie „Dąbrowo“, nadleśnictwo Wielgasy, województwo olsztyńskie — strzelb 8, pogoda: opady — śnieżyca, opolowano 1000 ha lasu, padło: 10 dzików, 1 lis, 26 zajęcy.

15 stycznia 1949 roku, gmina Szelków, grunty gromadzkie, powiat Maków, Koło Łowieckie „Ponowa“; 16 strzelb, zamieć śnieżna, opolowano 700 ha pól, padło 116 zajęcy.

14 i 15 stycznia 1949 roku, grunty gromadzkie, nadnarwiańskie, powiatu pułtuskiego, Koło Łowieckie „Echo” — strzelb 20, śnieżyca, opolowano 1.900 ha pól, padło 360 zajęcy.

Kronikę myśliwską mógłbym ciągnąć przez długie godziny... I im dalej zagłębialibyśmy się w te notatki, tym radośniej zaczęło by się robić nam na duszy. Bowiem coraz wyraźniej widać poprawę, coraz bardziej zbliżamy się do wyników polowań, które w ogólnie osiągniętym wyniku mogą i muszą się stać poważną pozycją w skali gospodarki państwowej. Zbliżamy się do wyników polowań, które dają zadowolenie myśliwym, satysfakcję hodowcom i efekt w kilogramach dziczyzny, ważki już dzisiaj dla rynku krajowego.

* * *

Pozwolę sobie w tym miejscu wrócić do dawnych statystycznych odnośnie odstrzału zwierzyny łownej w Polsce.

W roku 1938 odstrzał ten w przybliżeniu wynosił:

zajęcy 1.000.000 sztuk, co przy wadze przeciętnej 3,2 kg, stanowi 3.200.000 kg mięsa-dziczyzny;

kuropatw — 2.000.000 sztuk, po 0,35 kg — daje 700.000 kg;

kaczek i bażantów — 300.000, co przy wadze przeciętnej 0,5 kg daje 150.000 kg;

dzików, jeleni, łosi, danieli i sarn — 20.000 sztuk, po 50 kg, daje 1.000.000 kg.

Łącznie więc otrzymano pięć milionów 50 tysięcy kilogramów zwierzyny.

Ponadto: skór surowych — 20.000 sztuk, futer lisów — 50.000 sztuk, futer wydr, rysiów, kun, gronostajów, wiewiórek, tchórzów itp. 100.000 sztuk.

W sezonie 1947/48 roku, według przybliżonych statystyk Polskiego Związku Łowieckiego, odstrzał zwierzyny łownej wyglądał jak poniżej:

zajęcy 450 000 sztuk, po 3,2 kg — 1.250.000 kg;

dzików i jeleni 5.000, po 50 kg — 250.000 kg;

łącznie 1.500.000 kg.

W sezonie 1948/49 roku:

zajęcy 900.000 sztuk, po 3,2 kg — 2.800.000 kg;

zwierzyny grubej 8.000 sztuk po 50 kg — 400.000 kg;

łącznie 3.200.000 kg.

Wobec trwania jeszcze sezonu odstrzału grubej zwierzyny do dnia 28.II br., podaję przypuszczalną cyfrę odstrzału tej zwierzyny już za cały sezon.

Podane cyfry za rok 1948/49 są już cyframi bardzo poważnymi, cyframi, które pozwalają mniemać, że idziemy do szybkiego rozwoju łowiectwa i wartości, jakie daje łowiectwo gospodarce narodowej.

Ponadto należy specjalnie podnieść, że dzisiejszy obszar Rzeczypospolitej Polskiej, z granicami opartymi na Odrze i Nysie, ma dla rozwoju zwierzyny łownej o wiele przychylniejsze naturalne warunki gleby i klimatu niż obszar Polski z roku 1939. Stan ten rokuje nam możność stworzenia w Polsce najbogatszych i najróżniejszych łowisk w Europie.

Przy należytej i planowej ochronie, hodowli, gospodarce oraz prawidłowym wykonywaniu polowania, w oparciu o mającą się niezadługo ukazać nową ustawą łowiecką, dostosowaną do nowej rzeczywistości Polski Ludowej, możemy dojść do wręcz kapitalnych osiągnięć w zakresie łowiectwa.

Wydaje mi się, że mogę już dzisiaj zaryzykować twierdzenie, iż w latach 1951/52 oraz 1952/53 ogólna suma sztuk i kilogramów, osiągnięta z prawidłowego odstrzału zwierzyny łownej, winna się zamykać **rocznie cyfrą:**

zajęcy — 2.000.000 sztuk, przeciętnie po 3,2 kg — 6.400.000 kg;

królików — 100.000 po 0,5 kg. — 50.000 kg;

kuropatw — 300.000 po 0,35 kg — 100.000 żg;

kaczek, bażantów — 100 000 po 0,5 kg — 50.000 kg;

dzików, jeleni, sarn, danieli — 10.000 po 50 kg — 500.000 kg;

łącznie 7.150.000 kg.

Podkreślam słownie — przeszło **siedem milionów kilogramów mięsa, rzuconego przez łowiectwo na rynek krajowy.**

Jeżeli dodamy do powyższej pozycji 10.000 sztuk skór surowych i 120.000 futer lisów, wydr, tchórzów, wiewiórek, wilków itp., a ponadto kilka milionów skórek zajęczych i króliczych na filc i futerka, to w sumie otrzymamy wartość użytków. które winny być osiągnięte z łowiectwa w Polsce w latach 1951/52 i 1952/53 w wysokości **dwóch do trzech miliardów złotych rocznie.**

Nie najważniejszą jednak jest sama wysokość uzyskanego przychodu z łowiectwa w złotych.

W okresie odbudowy i przebudowy naszego życia gospodarczego i pewnych braków na rynku, związanych z tempem pracy i reform, łowiectwo może dołożyć swą cegiełkę do trzech newralgicznych działów gospodarki: rynku mięsnego, dostawy surowca, skór i futer oraz dopływu walut dla Skarbu Państwa.

Mięsny rynek krajowy, wobec konieczności produkowania przede wszystkim materiału wyjściowego dla dalszej hodowli bydła i nierogacizny, ciągle nie jest jeszcze odpowiednio nasycony. Zresztą w okresie przeprowadzanej w Państwie akcji „H" nie potrzeba uzasadniać ważności dla spożycia wewnętrznego — wkładu z łowiectwa, które może dostarczyć w miesiącach listopad — styczeń około 5.000.000 kg mięsa.



Układ art. mal. S. Rozwadowski

Odrębnym zagadnieniem zużytkowania dziczyzny jest przemysł konserwowy. Już w bieżącym roku na Wystawie Ziem Odzyskanych można było w stoisku Państwowego Zjednoczenia Przemysłu Konserwowego oglądać całe szeregi puszek „Pieczeni z jelenia“, „Zająca w śmietanie“, „Pasztetu z dziczyzny“. Popyt na wyroby z dziczyzny, nie tylko zresztą na Wystawie Ziem Odzyskanych, ale i w sklepach masarskich, był bardzo duży.

W przyszłości eksport dziczyzny, przerobionej już przez odpowiednie fabryki na konserwy, niewątpliwie zainteresuje zagranicę również poważnie jak nasze bekony. A nawet śmiem twierdzić, że tak jak na rynkach światowych polskie „Ham“ czy „Bacon“ są poszukiwane i cenione, tak samo puszka z combrem zajęczym, schabem z dzika, czy z szynką jelenia, stanie się popularna i chętnie nabywana.

* * *

Niewielkie i nieśmiałe próby eksportowe, rozpoczęte w roku 1947/48 (wysłano do Francji 37.000 sztuk zajęcy) rozrosły się w ciągu ostatniego sezonu łowieckiego do długiego szeregu ofert, a następnie do zawarcia kilku umów z firmami zagranicznymi. Umowy te, skwapliwie podpisane przez spragniony mięsa Zachód ze Spółdzielnią „Jedność Łowiecka“, doznały w okresie wysyłek poważnych zatrzymań.

Szczęśliwie jednak w końcu grudnia, z wielkim szumem i hałasem motorów, znaczone niebiesko-biało-czerwonymi pasami, wjechały do Poznania, idące wprost z Holandii, olbrzymie samochody - chłodnie i ku wielkiej uciesze przechodniów rozpoczęło się ładowanie kilkuset dzików i jeleni do głębokich jak wozy meblowe — ciężarówek.

Transport ten wyniósł około 50.000 kg dziczyzny, zwierzyny grubej. Następne 50.000 kg czeka na wysyłkę w dniach najbliższych.

Cena kilograma eksportowanej dziczyzny zajęczej wynosi w bieżącym roku 46 centów amerykańskich za 1 kilogram, co przy 100.000 sztuk wyeksportowanych zajęcy (czyli 400.000 kg) wynosić będzie 184.000 dolarów.

Cena eksportowa dziczyzny zwierzyny grubej kształtuje się w br. w wysokości 80 centów amerykańskich za 1 kg, co wyniesie za 100.000 kg po 80 centów — 80.000 dolarów.

Łącznie więc w pierwszym roku próbnego eksportu dziczyzny, polskie łowiectwo zasili Skarb Państwa kwotą 264.000 dolarów. Kwota ta jest może przy sumach osiąganych przy eksporcie węgla czy wełny niewielka, ale zawsze stanowi jedną jeszcze, dorzuconą dla pozyskania dewiz, cegiełkę.

Przy ujęciu eksportu dziczyzny w karby organizacyjne i przy przeprowadzeniu na szeroką skalę propagandy spożycia naszej dziczyzny za granicą, sprawa eksportu dziczyzny stanie się interesującą dla naszego państwowego bilansu płatniczego, jako pozycja duża i stała.

Jeżeliby bowiem założyć, że w latach 1950/51 i 1951/52 wyeksportujemy tylko 25%—30% ogólnej ilości sztuk zwierzyny, uzyskanej z odstrzału, to eksport ten wyrazić się winien sumą:

zajęcy sztuk 600.000 a 3,2 kg wagi przeciętnej, co stanowi 2.000.000 kg;

grubej zwierzyny sztuk 2.500 po 50 kg, co stanowi 125.000 kg;

innych sztuk 150.000 po 0,50 kg, co stanowi 75.000 kg;

łącznie 2.200.000 kg.

Przemnożywszy otrzymane 2,200.000 kg dziczyzny przeciętnie przez 0,5 dolara za 1 kg, które z łatwością można uzyskać na rynkach zagranicznych, otrzymamy sumę 1,100.000 dolarów wpływu walut obcych do naszego Skarbu rocznie.

Do podanej wyżej sumy, osiągniętej z wyeksportowanej dziczyzny, dodać jeszcze należy eksport w dziale futer i skór. Zakładając, że wyeksportujemy 25% zdobytych, wyprawionych już bądź przerobionych skór i futer, otrzymamy 5 000 skór wyprawionych na blank bądź na zamsz, oraz ca 40.000 wyprawionych futer lisich, kunich, rysich, tchórzów itp., a to w ogólnej sumie powinno stanowić równowartość co najmniej **800.000.— dolarów.** Łącznie zatem możemy zaryzykować twierdzenie, że wpływ walut z eksportu dziczyzny w latach 1951/52 i 1952/63 zamknie się sumą około **2.000.000 dolarów.**

Wszelkie dalsze komentarze w tej sprawie uważam za zbyteczne.

×

Czytelnik artykułu „Dwie tony zajęcy“ będzie może nieco zdziwiony najprzód samym tytułem, potem wstępem, stanowiącym literackie wspomnienia z polowania na szaraki, to znów niespodziewanym przejściem z kronik myśliwskich do wartości gospodarczych łowiectwa i dalej eksportu.

Proszę mi darować ten nawał tematów, ale w czasie polowania, kiedy myśliwy wpatruje się w ośnieżoną ścianę zagajnika, czy w biegnące ponad ścierniskami jesienne chmury, przychodzą mu do głowy siłą rzeczy uporczywe myśli, refleksje i rozważania związane z łowiectwem. Później w czasie rozpamiętywania minionych łowów nie mogę się powstrzymać, by myśli tych nie przelać na papier.

Nie mogę się też powstrzymać od krótkiej konkluzji, która w wyniku rozważań i zapisków narzuca mi się z nieodpartą siłą.

Łowiectwo, choć jest stare jak świat, zmienia się i zmieniać się musi tak jak świat. I jeżeli w chwili obecnej nie nadąży za formującym się od podstaw nowym życiem, jeżeli nie wprzęgnie się do wielkiego planu przebudowy ustroju w kierunku gospodarki socjalistycznej, państwowej i społecznej, jako jeden z trybów wielkiej maszyny nowoczesnego ustroju, to musi zginąć i zginie niechybnie.

I stąd te rozważania, stąd te myśli, stąd te refleksje.

Zadajmy sobie zatem na zakończenie kilka pytań Czy Polski Związek Łowiecki swą działalnością zdołał zlikwidować brutalne i bezmyślne, powojenne kłusownictwo? Czy przyczynił się swą pracą do podniesienia zwierzostanów krajowych? Czy umasowił i zdemokratyzował swe szeregi? Czy włączył łowiectwo polskie do działów ważkich dla gospodarki Państwa? Czy zorganizował pozyskiwanie użytków z łowiectwa dla rynków krajowych i zagranicznych?

Jestem głęboko przekonany i wiem, że odpowiedź na wszystkie postawione wyżej pytania, jest zdecydowanie **pozytywna.**

Łowiectwo polskie będzie istnieć.

Z. Kowalski

LEOPOLD PAC-POMARNACKI

GŁUSZEC I JEGO OCHRONA

Najcenniejszą zwierzyną lotną na ziemiach polskich jest bezsprzecznie głuszec. Od czasu, gdy idea prawidłowego łowiectwa zaczęła się krzewić w naszym kraju, ptak ten ściągał na siebie uwagę przyrodników i myśliwych, a najwięksi pisarze łowieccy dodawali przy jego nazwie przymiotnik „królewski".

Niejednego z obecnych myśliwych zastanawiać może to niezrozumiałe dlań wyróżnienie głuszca jako zwierzyny, która przecież nie daje żadnego wyraźnego pożytku po zabiciu ani też nie odgrywa większej roli w gospodarce leśnej. Mięsa głuszca nie można bowiem zaliczyć do przysmaków, a wypchany ptak nie przedstawia innej wartości niż trofeum łowieckie. Dlaczego więc myśliwi tak wysoko cenią ten gatunek zwierzyny lotnej i poświęcają mu tyle uwagi w literaturze pięknej i fachowo - łowieckiej?

Głuszec, jako zwierzyna — istotnie nie stanowi dużej wartości materialnej, daje jednak w czasie polowań na tokach niezrównane przeżycia duchowe, które. w duszy wrażliwego na piękno natury człowieka. utrwalają się na całe nieraz życie. Kto choć raz spędził ranek w puszczy, rozbrzmiewającej setkami szmerów, kto słyszał całą gamę wiosennych głosów jej mieszkańców, przerywających poważną, majestatyczną ciszę knieli — ten zespolił się z nią duchowo już na zawsze. I tylko temu przypisać należy, że prawdziwi myśliwi wyrzekną się wszelkiej innej zwierzyny dla głuszca, że pozostawią dom, rodzinę, najpilniejsze nawet interesy, byle tylko spędzić choć jeden poranek kwietniowy w lesie — pod pieśnią tajemniczego trubadura wiosny.

Czar polowania na tokach — to jest właśnie ta olbrzymia dla myśliwego wartość głuszca, wartość, która przewyższa dziesięciokrotnie cenę samego ptaka, jako ubitej na pieczeń zwierzyny.

* * *

Głośny, zgrzytliwy terkot budzika podrywa nas z łóżka na nogi. Spoglądamy na zegarek — dochodzi pierwsza po północy. Przez chwilę patrzymy półprzytomnie na okopcone belki sufitu, na ściany wyklejone ilustracjami z gazet, to znowu na kupkę żaru, jarzącego się jeszcze od wieczora w obszernym palenisku wiejskiego pieca, nie mogąc dobrze zdać sprawy z tego, gdzie się właściwie znajdujemy. Ale powoli wraca świadomość, że to przecież gajówka, i że za kwadrans powinniśmy stąd wyruszyć na głuszce.

Wciągnąwszy na siebie ubranie, pośpiesznie wychodzimy na dwór, by się upewnić co do pogody.

Dokoła czarną ścianą rozprzestrzenia się puszcza— milcząca, uśpiona. Ciemny strop nieba, nabity srebrnymi gwoździami gwiazd, okrywa okolicę na kształt abażuru. Lekki wietrzyk muska wyniosłe czuby drzew, kołysząc gałęziami w cichym, jakby modlitewnym szepcie. Jest chłodno, lecz pogodnie. Pod stopami głucho chrzęści sztywna, oszroniała od mrozu trawa.

Powracamy do izby i włożywszy ciepłą kurtę sukienną oraz zabrawszy dubeltówkę i naboje, czekamy, aż umówione pukanie gajowego w okno upewni nas, że trzeba ruszać.

Gdyśmy opuścili podwórze, ogarnęła nas atramentowa czerń nocy, w której jedynie wprawną stopą wyczuwaliśmy szlak nikłej ścieżynki, wijącej się wśród lasu, schodzącego powoli ku niziniom moczarów. Gajowy zwalnia kroku i świecąc latarką — odnajduje śliskie, wilgotne drągi, mające zastępować kładki, przerzucone przez kałuże i strumyki.

Przywykłe do ciemności oczy teraz już zaczynają rozróżniać poszczególne rowy i topiele, zalane wiosenną wodą, od jaśniejszych smug suchych grobelek i przejść. Trzeba się śpieszyć, by jak najprędzej wydostać się z bagien na pagórki pokryte borem sosnowym, będące celem pierwszego etapu naszej wyprawy.

Po przejściu ostatniego brodu, natrafiamy na szerszą dróżkę, która wkrótce doprowadza nas na skraj dużej polany, odcinającej się wyraźnie granatową przestrzenią od czarnych puszczańskich gęstwin. Jeszcze kilkanaście metrów przez wysokopienny bór.

Jesteśmy na miejscu. Gajowy ukląkł i za chwilę z kupki zeschłych patyków wystrzelił nikły płomyk, przeradzający się stopniowo w ognisko, rozjaśniające złotym blaskiem mroki otoczenia. Usiedliśmy na pieńkach, oczekując świtu.

Czerń nocy zdaje się blednąć, rozrzedzać. Z czarnych plam drzew wyłaniają się już dzioby wierzchołków i kontury grubszych gałęzi. Niebo z jednolitego morza barwy granatowej, przechodzi w odcień ultramaryny, gwiazdy matowieją, tracą swą wyrazistość.

Czerwone języki ognia chciwie chłoną suche naręcze chrustu i smolnych gałęzi sosnowych, strzelając w górę snopami iskier, dogasających powoli w powietrzu. Siwy słup dymu wznosi się aż ku wierzchołkom starych sosen, pochylonych rosochami konarów ku jasnej smudze ogniska. Miłe ciepło ogarnia całe ciało, pomimo że lekki przymrozek, potęgujący się nad ranem, ściska bezlitośnie odrętwiałą jeszcze ziemię.

Nagle gdzieś z głębin puszczańskich bagien odezwały się żurawie. Ich donośny, metaliczny jak trąbka okrzyk wiosenny, zmącił ciszę nocy, popłynął gęstwą borów, rozwijał się wśród polan i moczarów.

— Już drugi raz krzyczą — mówi cicho gajowy— mamy godzinę do świtu. Po trzecim okrzyku trzeba ruszać na tokowisko, bo zaraz i głuszce się odezwą.

Znowu zapanowało milczenie. Puszczyk, zbudzony światłem, pohukuje żałośnie wśród drzew, migając niekiedy cieniem rozskrzydlonej sylwetki nad skrajem halizny, oblanej smugą blasku. Łamiąc pod stopami zmurszałe patyki, jakiś zwierz przemyka się ku moczarom, ginąc całkowicie w ciemnościach.

— Pewnie dzik — odyniec — dorzuca objaśnienie towarzysz.

Tymczasem niebo przechodzi powoli w tony coraz jaśniejsze, oblewając się na wschodzie smugami seledynu i fioletu. Dnieje.

Gdy po raz trzeci zatrąbiły żurawie, podnosimy się z pieńków i zarzuciwszy strzelby na ramię, zagłębiamy się w puszczę już sami. Gajowy pozostał przy ognisku, gdzie się prześpi aż do naszego powrotu.

Teren boru wolno opada ku bezmiarowi bagnisk, ciągnących się dokoła kilometrami. Stąpając cicho jak kot po oszroniałych kładkach, docieramy na koniec

do małej wysepki, oddzielonej parusetmetrową „szyją“ błotną od dużego ostrowu, porośniętego starodrzewiem sosnowym, będącym właściwym tokowiskiem głuszcowym.

Tutaj wczoraj o zmroku wysłuchaliśmy pięć kogutów, zapadających z hałasem na nocleg wśród tokowiska. Pamiętamy nawet miejsca, gdzie siadały poszczególne sztuki. Na skraju ostrowu ulokowały się dwa, jeden na lewo pośród moczaru, dwa dalej gdzieś w głębi wyspy.

Oparłszy się plecami o drzewa czekamy.

Blada jasność jutrzenki rodzi się za lasem, rozlewając po niebie żółte i różowe pastelowe cienie, choć pomiędzy sosnami panuje jeszcze szary, rzedniejący mrok. Od błot ciągnęło przejmujące tchnienie chłodu i wilgoci, pachnącej pleśnią.

Puszcza wolno budzi się do życia. Sowy hukają coraz śmielej i częściej. Z szumem rozcinanego powietrza przeleciało górą stado kaczek, siadając tu i ówdzie na błotnych kałużach. Ochrypły krzyk kaczora wzywa wiarołomne kochanki na gody. Czasami z trzykrotnym chrapnięciem przeciągnie długodzioba słonka.

Głuszce milczą. Wytężony słuch na próżno stara się ułowić choćby jeden takt ich tajemniczej pieśni. Skrzypnięcie buta czy pasa już pobudza serce do przyśpieszonego tętna, lecz na próżno! To tylko złudzenia.

Cichutko, nie słysząc niemal własnych kroków, posunęliśmy się aż nad brzeg mokradła. Przed nami już błyszczy woda wiosennego rozlewiska, wśród której na mchowych kępach sterczą nędzne, rachityczne sosenki, pokryte wisiorami porostów.

I wtedy odezwał się pierwszy głuszec.

Tępe, jakby jąkające się klapanie, przerywane co chwila i mylone, stopniowo nabiera rytmu i mocy, stając się jakąś całością, kontrastowo odmienną od krótkiego „odboju“ i dalszej części pieśni — szlifowania. Kogut rozpala się coraz bardziej, gra dokładniej, namiętniej. Pieśń po pieśni idą w dal tak wyraźnie i szybko, że zaledwie wprawne ucho potrafi uchwycić ton innej serenady, zaczynającego „telękać“ drugiego tokowika. A w dali klapie już trzeci.

Nie ma czasu do stracenia. W takt szlifowania ruszamy przez wodę, wykorzystując każdą zwrotkę do zrobienia trzech długich, pewnych kroków, po których musi nastąpić kilkusekundowa przerwa do nowego ruchu. Omijając mętne kałuże i sterczące zdradziecko korzenie drzew, kierujemy się wprost na słyszany głos, oceniając, że głuszec gra o jakieś 150 metrów przed nami.

Przeprawa jest trudna, a czas nagli, gdyż z każdą minutą w puszczy staje się coraz widniej i szanse podejścia czujnego ptaka maleją. Głębokie doły i zagłębienia pełne wody przecinają drogę, trzeba je omijać lub przechodzić, mając zawsze do dyspozycji tylko trzy kroki i ani metra więcej. Nieraz kilka pieśni przepada na rzecz jednej takiej przeszkody, albo kloc obalonego olbrzyma leśnego zmusza do zmiany kierunku. Ciarki przechodzą na myśl, że się nie zdąży, że cały trud zmarnuje się bezpowrotnie. Pot zrasza już czoło, gardło zasycha, a nogi gną się w kolanach ze zmęczenia.

Już tylko kilka metrów dzieliło nas od zbawczej wyspy, gdy rozdrażnieni pośpiechem niebacznie ułamaliśmy ramieniem suchą gałąź. Trzask był wprawdzie cichy, lecz głuszec przerwał natychmiast rozpoczęte klapanie i pogrążył nas w denerwującym wyczekiwaniu.

Serce zamarło w piersiach na samą myśl, że już po wszystkim. Czuby drzew powlekają się złotem aureoli, na ziemi można rozeznać każdy szczegół. Z dalekiej polany zalatuje bełkot roznamiętnionych cietrzewi.

Wreszcie kogut odezwał się ponownie. W parę sekund znaleźliśmy się na suchym gruncie i teraz już wolniej, rozważniej idziemy w jego kierunku.

Minęliśmy już szczyt pagórka ostrowu i zniżać się zaczynamy ku obszarowi dalszych błot, gdy najniespodziewaniej w świecie głuszec milknie a zaraz potem zabrzmiały donośnie skrzydła odlatującego ptaka.

— Co się mogło stać? — myślimy ponuro — przecież nie mógł chyba zobaczyć ani usłyszeć.

Stoimy oniemiali, nie wiedząc, co teraz wypada czynić. Wprawdzie słychać wyraźnie pieśń innych kogutów, ale są one daleko i wobec rodzącego się dnia — nie ma najmniejszych szans, że zdążymy je podejść. Ranek jest stracony.

Już zamierzamy zawrócić ku kładkom, gdy nagle stajemy jak wryci. W ciszy poranku ostrą, dźwięczną kaskadą rozlega się nowa, bliziutka pieśń głuszcowa.

Kogut gra na ziemi.

Teraz zrozumieliśmy, że nasz śpiewak bynajmniej nie spłoszony, spłynął tylko z drzewa na mchy, by tam kończyć swoją serenadę.

Wyraźne, metaliczne klapanie — końcówka i syk szlifowania. Robimy trzy długie pośpieszne kroki, potem w czasie nowej pieśni jeszcze trzy i dostrzegamy wreszcie samego trubadura.

Z podniesioną głową, pięknie połyskującą purpurą brwi, z rozpostartym wspaniale czarnym wachlarzem, przetkanym białym pasmem plam oraz opuszczonymi do ziemi — jak u indora — lotami, głuszec grał, drżąc w ekstazie upojenia, zwrócony bokiem do nas. Skamieniali w miejscu, z suchością w gardle i gwałtownym biciem serc — chłoniemy wzrokiem jego okazałą, wyraźną sylwetkę, zapominając o wszystkim.

Za lasem rodzi się dzień, blask bladego wiosennego świtu wdziera się aż tu, do puszczańskiego matecznika, rozpalając na rudych pniach sosen połysk dukatowego złota. Gałęzie drzew mienią się iskrami migotliwych promieni.

Za chwilę pierwszy złoty rąbek słońca wydźwignie się nad zębatą ścianę sosen, kołyszących się miarowo w podmuchach porannego wietrzyka.

* * *

Głuszec, jako mieszkaniec dzikich gór i odludnych, bagnistych puszcz nizinnych — już od dawna zaczął ustępować przed kroczącą wszechwładnie cywilizacją, kryjąc się w takie okolice, gdzie charakter lasów nosił jeszcze wszystkie cechy pierwotności. Na ziemiach polskich ptak ten zamieszkiwał południową część ziemi radomskiej, ziemię piotrkowską, lubelską, krakowską, suwalską, Puszczę Kozienicką i Lubocheńską (Lasy Spalskie), Tatry, Karpaty, Beskidy, Pomorze, a dalej Polesie, Białoruś, Litwę i Inflanty. Jeszcze w roku 1869 w lasach koneckich, graniczących na południu z lasami rządowymi Samsono-

wa i Przedbórza — ubito na tokach 16 kogutów, a już w roku 1898 był tam tylko 1 kogut i 3 kury, podczas gdy w lasach kozienickich i lubocheńskich głuszce w tym czasie już nie występowały zupełnie.

W obecnych granicach Polski, według ankiety opracowanej przez Polską Sekcję Międzynarodowego Komitetu Ochrony Ptaków, głuszec ma występować w 13 województwach, a mianowicie: w gdańskim, szczecińskim, pomorskim, poznańskim, białostockim, lubelskim, warszawskim, łódzkim, wrocławskim, śląskim, krakowskim, rzeszowskim i kieleckim. Co się tyczy tego ostatniego, stwierdzić muszę kategorycznie, że głuszca tutaj nie spotyka się zupełnie i nie występował już nawet przed rokiem 1939. Musiała więc zajść co do tej informacji jakaś omyłka, względnie zidentyfikowano głuszca z cietrzewiem. Obawiam się, że podobnie rzecz się przedstawia, gdy chodzi i o województwa łódzkie oraz warszawskie. O istnieniu głuszców na tych ziemiach nigdy bowiem dotąd nie słyszałem, choć rozmieszczeniem tej zwierzyny interesuję się od dawna.

Dziś w Polsce głuszec należy do rzadkiej już zwierzyny, której nie można pozostawić jedynie własnemu losowi, lecz trzeba ją otoczyć specjalną troską i opieką, tym trudniejszą do wykonania, że ptak ten nie lubi cywilizacji ani też zbytniej ingerencji ludzi w upodobanych przez siebie zakątkach. Z tego względu odpada całkowicie np. dokarmianie, bo głuszec żeru dość ma w kniei i przygotowanej karmy nie ruszy. Jako jeden natomiast z pomocniczych zabiegów hodowlanych, pozostanie tępienie drapieżników, zwłaszcza czworonożnych, groźnych dla gniazd i młodzieży, ochrona terenu — ostoi głuszcowej i wreszcie próba sztucznego rozmnażania tej pięknej zwierzyny przez sprowadzanie jaj młodych czy nawet starych ptaków.

Drapieżnikami niebezpiecznymi dla głuszca są przede wszystkim wałęsające się psy i koty, dalej łasice, kuny i tchórze. Lis też nie należy do przyjaciół i w miejscach lęgowisk głuszcowych nie może licznie występować, jak również i dzik który przy swym doskonałym węchu łatwo odnajduje ukryte w kępach gniazda z jajami, no i naturalnie nie gardzi tą potrawą. Z ptaków orzeł, puhacz i jastrząb - gołębiarz atakują głuszca.

Znaczniejsze zmniejszenie ilości szkodników przyczyni się z pewnością do wzrostu stanu głuszców, lecz o nim jeszcze specjalnie nie zadecyduje. Pozostaje druga rzecz, niewątpliwie ważniejsza, mianowicie ochrona terenu. O ile w miejscach lęgowych pasie się bydło, łażą chłopaki w poszukiwaniu jagód, grzybów lub chrustu — to, naturalnie, w takim łowisku nie można marzyć o podniesieniu jakiegokolwiek zwierzostanu, a zwierzostanu głuszcowego w szczególności. Jak zaznaczałem — głuszec lubi spokój i właśnie ten spokój za wszelką cenę należy mu zagwarantować. On jest podstawowym warunkiem rozmnoży tego pięknego ptaka.

Nie chce przez to powiedzieć, że do hodowli głuszca potrzebny jest rezerwat o powierzchni tysięcy hektarów. Tak znów nie jest. Na miejsce lęgu ptak ten obiera pewne okolice, często nie przekraczające nawet kilkudziesięciu ha, które bardzo łatwo jest wyeliminować z pod eksploatacji użytków ubocznych.

I o te miejsca tylko chodzi, bo drugie ważne ostoje głuszcowe — tokowiska, goszczące u siebie ptaki jedynie przez marzec i kwiecień, są zabezpieczono przed inwazją ludzką, bo w tym czasie nie ma tam jeszcze ani jagód, ani grzybów, ani wreszcie wypasu bydła.

Przeprowadzenie normalnych cięć lub trzebieży w lesie nie płoszy specjalnie tej zwierzyny. Niejednokrotnie widywałem głuszce, przechadzające się w czasie dnia po świeżo zalesionym zrębie, gdzie żadna inna zwierzyna nie chciałaby się pokazać. Nawet o ile sam obszar tokowiska zostanie wycięty, to ptaki obierają sobie inne miejsce i tam przenoszą się na okres godowy, nie opuszczając bynajmniej swojej kniei, do czego je zmusimy dopiero wtedy, gdy wytniemy cały starodrzew. W samych młodnikach bowiem głuszce żyć nie mogą i z takich obszarów emigrują całkowicie.



Miłe trofeum *fot. L. Pac-Pomarnacki*

O ile jest to jednak możliwe — to tokowiska należy oszczędzać i planować na nich jedynie trzebieże a nie zręby.

Głuszec, jak każda kura, lubi „kąpać się" w piasku celem pozbycia się trapiących go pasożytów. Ponieważ w kniei, poprzerzynanej bagnami i moczarami, nie wiele znajduje się odpowiednich ku temu miejsc — dobrze jest przyjść mu z pomocą, przygotowując sztuczne paprzyska w postaci rozrzuconych po lesie kup popiołu.

W tym celu w końcu zimy układamy stosy chrustu, gałęzi i różnych odpadków, które dokładnie później spalamy, by przed rozpoczęciem toków miały już ptaki potrzebny do paprzenia się popiół, z którego bardzo chętnie korzystają. Kup takich trzeba przygotować kilkanaście i to w różnych częściach kniei, bo przypuszczalnie nie wszystkie one będą przez głuszce zauważone i spożytkowane. O ile mamy do dyspozycji w pobliżu piasek, to możemy użyć go do tego celu zamiast popiołu, rozwożąc furami po lesie.

Drugą rzeczą nieodzownie głuszcowi potrzebną jest drobny żwirek. Celem zmielenia i zmiękczenia

pokarmu, przechowywanego w wolu, ptaki zbierają po drogach leśnych, torach kolejowych i porębach małe kamyczki, czyniąc w ich poszukiwaniu nieraz nawet odległe podróże. Jeżeli sprawdzimy wole każdego zabitego koguta, to stwierdzimy, że przynajmniej połowę jego zawartości będą stanowiły pięknie wypolerowane przez tarcie kamyki. Usypywanie małych kopczyków żwiru w częściach lasu, gdzie głuszce najchętniej biesiadują, należy także do bardzo ważnego zabiegu hodowlanego, którego zaniedbywać pod żadnym pozorem nie wolno.

Tych kilka uwag, zastosowanych w praktyce — przy zapewnieniu ptakowi ciszy i spokoju na arenie ich igrzysk wiosennych, gdzie nie tyle jest szkodliwy huk strzału, co krzyki, śpiewy i nawoływania ludzkie, stanowi wszystko, co można zrobić dla rozmnoży głuszca tam, gdzie zwierzyna ta już przebywa.

Przechodząc teraz do sprawy osiedlenia głuszca na nowych terenach, zaznaczyć muszę na wstępie, że nie jest to bynajmniej rzeczą łatwą. Rozmaite są przyczyny niepowodzeń, ale jedną z najgłówniejszych jest wybór odpowiedniego miejsca, w którym zamierzamy osiedlić ptaki. Rzecz ta bywa często przez hodowców bagatelizowana i z tego powodu cały żmudny oraz bardzo kosztowny proces hodowli nie daje później rezultatów, a ludzie starają się na próżno dociec, co było tego przyczyną, nie wiedząc, że istotnym powodem jest właśnie ten „drobiazg", którego niemal zupełnie nie brali pod uwagę.

Bowiem jeżeli chodzi o aklimatyzację tej naprawdę dzikiej zwierzyny lotnej, to nie wystarcza, że obrane na siedlisko dla niej miejsce jest „podobne" do rodzinnych ostoi głuszca. Przy takiej hodowli wchodzi w grę nie tylko topografia okolicy, lecz przede wszystkim zbiorowisko roślinne, dostarczające ptakom pożywienia. Myślę tu głównie o jagodach, na których one chętnie żerują oraz o drzewach i krzewach, dających pączki i igliwie w porze zimowej albo listowie w jesieni. Głuszce np. lubią specjalnie zwarzone pierwszym mrozem jesiennym liście osiki i wędrują nieraz daleko w poszukiwaniu drzew, zawierających te przysmaki. Mile widzianą potrawą jest też podobno dla nich igliwie modrzewia. W zimie objadają igliwie sosen, a niektóre spośród tych drzew wybitnie wyróżniają.

W kilku słowach trudno jest scharakteryzować ulubione przez tę zwierzynę tereny, postaram się jednak w krótkości zobrazować taką knieję, zwłaszcza podkreślić cechy najważniejsze.

Głuszec niziny (a o nim tylko może być mowa) wymaga dla swej egzystencji przede wszystkim mokradła, porośniętego niską brzozą, świerczyną, sosną karłowatą i osiką, występującą na wyspach oraz starych borów sosnowych, któreby otaczały, względnie przeplatały opisane moczary, zasobne w dużą ilość jagód z czernicą, borówką i żurawiną na czele. Tereny muszą być odludne. O ile jeszcze w środku błot są suchsze wyspy, pokryte starodrzewiem sosny, w których to miejscach głuszce zimują i odprawiają wiosenne toki — teren będzie idealny.

Zabierając się więc do wyboru miejsca, należy zawsze zasięgnąć opinii kogoś doświadczonego w tej sprawie, by potem nie mieć rozczarowania i niespodzianek.

Istnieje wiele sposobów osiedlania zwierzyny, toteż choć pobieżnie omówię je kolejno.

Na terenach, posiadających w małej ilości głuszce, można stosować wypuszczanie dorosłych ptaków, zawsze w nocy, w środku rewiru, jak najdalej od granic. Senny „przybysz" nie odlatuje wówczas daleko, sadowi się w pobliżu, a spotykając z rana krewniaków, osiedla się w ich sąsiedztwie i najczęściej zostaje. Zastrzegam się, że sposób ten daje rezultaty tylko tam, gdzie występują głuszce miejscowe. W przeciwnym razie wszystkie wpuszczone ptaki wyemigrują.

Przed ostatnią wojną Dyrekcja Naczelna Lasów Państwowych próbowała aklimatyzować w ten sposób stare głuszce w lasach spalskich, gdzie zwierzyna ta już od dawna wyginęła. Sprowadzone ptaki z Wileńszczyzny w ilości około 10 sztuk — wypuszczono na wolność w nadziei, że zechcą się tam osiedlić. Istotnie przez parę pierwszych tygodni widywane były pojedyńcze okazy, później jednak wszystkie gdzieś wyemigrowały i pomimo starannych poszukiwań, obecności głuszców w lasach spalskich więcej nie stwierdzono.

Przykład ten ilustruje doskonale moje uwagi poprzednie. Lasy spalskie, po pierwsze nie odpowiadają dzisiaj warunkom bytowania głuszców, są to bowiem w przeważnej części zwykłe bory sosnowe, bez bagien i moczarów — ulubionej ostoi tego ptaka — po drugie zaś na terenach tych nie ma głuszców już od przeszło stu lat, a więc aklimatyzacja starych ptaków da tylko wątpliwe rezultaty albo nie da ich wcale.

Drugim sposobem osadzenia głuszców na nowym terenie jest wylęganie jaj głuszcowych przez cieciorki. W tym celu znaleźć najlepiej przy pomocy wyżła pewną ilość gniazd cietrzewi z jajami, następnie z kilku gniazd wyjmuje się wszystkie jaja cietrzewie, a na ich miejsce wkłada się nieco mniejszą ilość sprowadzonych głuszcowych. Zabieg ten winien być wykonany w ciągu maja, kiedy to jaja cietrzewie nie są jeszcze zalężone. Wybrane jaja cietrzewie dodaje się po kilka do innych gniazd cieciorek, dzięki czemu otrzymujemy w rezultacie prawie tę samą, co uprzednio ilość młodych cietrzewi plus głuszce. O ile nie pozostało w gnieździe ani jedno jajo cietrzewie, wysiadająca kura nie poznaje się na oszustwie i przyjmuje podłożone głuszcowe. Ze względu jednak na wielkość cieciorki i rozmiar jaj głuszca nie należy podkładać samicy więcej niż 5 sztuk. Wylęgłe w ten sposób pisklęta spędzają najtrudniejszy 4-tygodniowy okres dzieciństwa pod opieką macochy-cieciorki, później zaś usamodzielniają się, ale pozostają w rewirze na zawsze.

Niektórzy hodowcy jeszcze inaczej osiedlają te ptaki. Wylęgnięte przez kwoki domowe pisklęta głuszców chowają w ciągu kilku dni w domu, karmiąc drobno posiekanym jajkiem, ugotowanym na twardo, robakami „mącznymi" i „mrówczymi jajami" surowymi lub suszonymi na słońcu, a następnie rozmoczonymi w mleku. Po tym okresie wynoszą w koszu pisklęta do kniei, gdzie przy pomocy wyżła odszukują żerujące na błotach i dzikich łączkach cieciorki ze stadkami młodych, zbliżonych wiekiem do posiadanych piskląt i podrzucają sieroty. Sposób ten może dać wyniki tylko w tym wypadku, gdy posiadamy niewiele głuszców jakieś 3 — 4 sztuki. Przy większej ilości musimy je dzielić pomiędzy kilka matek, bo jedna nie potrafi okryć skrzydłami w nocy tak dużej ilości dzieci własnych i „pasierbów", które bez należytej opieki macochy zgi-

ną wkrótce z chłodu. Fortel ten udaje się niemal zawsze, bo małe obu tych gatunków są dość podobne do siebie w ciągu pierwszych tygodni.

Ostatnim sposobem aklimatyzacji jest wpuszczanie młodych, podlatujących już sztuk. Stosuje się to w takich łowiskach, gdzie danej zwierzyny nie ma zupełnie, ale są jednak możliwości jej osiedlenia. Sprowadzonego czworonoga można śmiało przejść do porządku dziennego.

Jak poprzednio wspomniałem, poważnym czynnikiem, zapewniającym powodzenie wysiłków hodowlanych, jest spokój w łowisku. Nowosprowadzone ptaki muszą przywyknąć do terenu, muszą zżyć się z nim, a wszelkie płoszenie ich w tym czasie, zniechęca



Głuszec spod Żywca *fot. K. J. Rydel*

dzone głuszce należy wypuszczać również w środku kniei, z dala od granic, czynić to trzeba jednak nie w nocy, tylko o zachodzie słońca, by ptaki miały czas na wyszukanie sobie miejsca na nocleg oraz mogły nieco się pożywić po podróży.

Przed sprowadzeniem ptaków trzeba „przygotować" łowisko, a więc usypać kopce żwiru i piachu w pobliżu tych miejsc, gdzie ptaki przypuszczalnie osiedlą się, dalej zredukować znacznie liczbę jastrzębi gołębiarzy, bo tylko one mogą poważnie zagrażać tej zwierzynie. Jeżeli chodzi o czworonogi — to bezwzględną wojnę wypowiedzieć należy wałęsającym się psom i kotom oraz zmniejszyć stan lisów. Tępienie sympatycznych borsuków jest w tym wypadku bezcelowe, bo zwierz ten dorosłym ptakom nie zagraża zupełnie. Redukcje ich liczby stosować można tylko tam, gdzie borsuki są naprawdę liczne. Ponieważ jednak łowisk takich jest u nas niewiele, zatem nad szkodliwością tego czworonoga można śmiało przejść do porządku dziennego. zwierzynę i powoduje emigrację do miejsc bardziej ustronnych i dzikich. Jeżeli ktoś nie może zapewnić łowisku choćby względnego spokoju — nie powinien rozpoczynać tej trudnej i kosztownej hodowli.

I jeszcze pragnę nadmienić, że zabierając się do powyższej hodowli, trzeba koniecznie jak najczęściej korzystać z rad i wskazówek znawców tej zwierzyny— ludzi, którzy rzuciwszy okiem na łowisko, potrafią odrazu wskazać najodpowiedniejszy teren do osiedlenia, usunąć istniejące braki i wybrać właściwy dla danej miejscowości sposób hodowli. Najdokładniejsza i najobfitsza lektura nie zastąpi nigdy uwag takiego fachowca.

Gdy chodzi o łowiska, posiadające już głuszce, chciałbym zwrócić uwagę na jeden ważny zabieg hodowlany, a mianowicie na racjonalny odstrzał kogutów. Stare ptaki stają się zwykle złośliwe i zazdrosne, wypędzając z łowiska młode sztuki i przyczyniając się

w ten sposób nie tylko do zaniku tokowiska, ale i do zmniejszenia w ogóle stanu głuszców w danym obwodzie; muszą więc być w miarę starzenia się kolejno odstrzeliwane. Tymczasem do dziś dnia pokutuje u nas pogląd, że o ile stan zwierzyny jest słaby, to polowanie zamyka się całkowicie. Jest to grube nieporozumienie. Należycie wykonywany odstrzał stanowi właśnie jeden z ważniejszych środków podniesienia tego stanu.

Kto miał możność częstego bywania na tokowiskach, zgodzi się niewątpliwie, że stare koguty atakują inne tokowiki, odzywające się w sąsiedztwie. Ptaki przerywają wtedy śpiew, zlatują na ziemię i walczą zaciekle, szarpiąc się szponami i dziobami. Takie walki przeciągają się często do późnego ranka, odstraszając z obszaru tokowiska młode, najbardziej wartościowe koguty i przyczyniając się do bezpłodności kur, gdyż walczący małżonkowie nie mają czasu nimi się zajmować.

Z tego względu, o ile grają choćby tylko 3 koguty, to już jednego najstarszego, co można określić jego zachowaniem się w czasie zapadów wieczornych — trzeba odstrzelić. Przy większej liczbie tokowików odstrzał powinien dochodzić do 50%. Stan głuszców wtedy będzie się powiększał, a tokowiska nie osłabną. Gdy zaniechamy odstrzału — skutek wypadnie wręcz odwrotny: toki zaczną zanikać, a głuszce rozproszą się po lesie, grając pojedynczo lub najwyżej po 2 — 3 sztuki, podczas gdy dawniej było ich nawet kilkanaście na jednym tokowisku.

W roku 1936 Dyrekcja Lasów Państwowych w Radomiu przejęła od ordynacji zamoyskiej Nadleśnictwo Janów Lubelski o powierzchni 8 000 ha. W nadleśnictwie tym pierwszej wiosny grały tylko 4 koguty, a stan głuszców wyrażał się cyfrą 15 sztuk. Stosując wszelkie możliwe zabiegi hodowlane, przy jednoczesnym odstrzale pewnej ilości kogutów na tokach, doprowadziło się zwierzostan głuszcowy w ciągu trzech zaledwie lat do takiej świetności, że wiosną 1939 r. na jednym tylko tokowisku w obwodzie Świrdze sam zasadzałem na zapadach wieczornych 12 tokowików, a tokowisk w nadleśnictwie było już cztery.

Wtedy to, mając własny materiał hodowlany pod ręką, rzuciłem projekt zaaklimatyzowania tych ptaków w Górach Świętokrzyskich. Projekt ten uzyskał aprobatę Dyrekcji Naczelnej Lasów Państwowych która wyznaczyła komisję, celem wyboru odpowiednich terenów. Miejsce ustalono i już w jesieni 1939 r. miało nastąpić wypuszczenie pierwszej partii sprowadzonych głuszców. Niestety, wybuchła wojna.

Dziś — gdy zwierzostan głuszcowy w Polsce poprawia się z roku na rok — warto by jednak powrócić do zrealizowania tego planu.

Leopold Pac Pomarnacki

M. MNISZEK TCHORŻNICKI

ŁACIATY ODYNIEC

Od dłuższego czasu w Polskim Związku Łowieckim mówiło się o tym, że Ministerstwo Leśnictwa ma zamiar urządzić duże polowanie na dziki w województwie olsztyńskim. Dla wielu z nas Ziemia Mazurska była krajem nieznanym, wielu marzyło o dostaniu się do tego eldorada myśliwskiego, aby przeżyć spotkanie z odyńcem, posłuchać ryku jelenia czy wreszcie doznać rozkoszy łowieckich w czasie polowań na kaczki na jeziorach mazurskich.

I wreszcie stało się.

W końcu stycznia 1947 r. dostaliśmy zaproszenie na 1 lutego, na trzytygodniowe łowy. Zbiórkę wyznaczono w gmachu Dyrekcji Lasów Państwowych na dzień 31 stycznia w Olsztynie.

Wieczorem 30 stycznia Dworzec Wileński w Warszawie oglądał scenę dawno niewidzianą. Duża grupa myśliwych ze strzelbami, plecakami, walizami, zajęła prawie cały wagon. Jechało nas, zdaje się, osiemnastu.

Dziś, po tyloletniej przerwie, znów jedziemy do kniei nieznanej, kniei, o której tylko słyszeliśmy przed wojną, do odzyskanej Ziemi Mazurskiej.

Wagon nieoświetlony, ale zapaleni bridżyści ze Zbyszkiem Z. na czele pomyśleli o świecach i wnet dwa przedziały robią szlemiki i szlemy.

Ja wolałem się przespać. W przedziale jedzie jeszcze dwóch kolejarzy. Po krótkiej rozmowie na tematy łowieckie, wysiadają oni, życząc nam powodzenia. No! Tak! Pierwsze polowanie na ziemi olsztyńskiej, odrazu zapeszone.

Głucho dudnią koła rozpędzonego pociągu. Monotonny stuk sprzyja drzemce.

O szóstej rano wjeżdżamy na dworzec w Olsztynie. Ciężarówka z dyrekcji zabiera nas wszystkich Jedziemy ulicami zniszczonego Olsztynu. Zbyszek Z., który w Olsztynie czuję się jak w domu, udziela nam objaśnień. Wreszcie dojeżdżamy do dyrekcji, gdzie w stołówce zjadamy śniadanie, mocno zakropione zapasami przywiezionymi z Warszawy. A że każdy przywiózł co innego, a przywieźli tego sporo, nic więc dziwnego, że kiedy do stołówki weszli gospodarze, dyrektor S. i inż. K., zastali towarzystwo w świetnych humorach.

Zapoznajemy się z planem trzydniowych łowów. Otóż do wieczora czekamy na przyjazd jeszcze kilku myśliwych z Łodzi i Poznania. Koło szóstej samochody dyrekcyjne rozwiozą nas w trzech grupach do nadleśnictw, a od jutra, tj. od 1 lutego zaczynamy polować.

Mnie przydzielono do pierwszej grupy, składającej się z dobranej i znanej sobie kompanii. Jedziemy do Mrągowa, skąd będziemy robili wypady w okoliczne lasy.

Pierwszy luty wita nas jasnymi blaskami słońca Gruba warstwa śniegu leży nie tylko na ziemi, ale otula sosny i świerki wspaniałą okiścią. Aż oczy bolą od bieli skrzącego się w słońcu śniegu.

Jedziemy do Nadleśnictwa Strzałowo, położonego o kilkanaście kilometrów od Mrągowa. Prawie wszyscy mają drylingi, ja, niestety, tylko strzelbę Wprawdzie moja dwudziestka Defourny bije dobrze

kulami, o czym miałem już możność przekonać się, ale możność strzelania tylko brenneckami wywołuje u mnie kompleks niższości wobec gwintowanej broni mych towarzyszy.

Wreszcie wjeżdżamy w las. Na szosie oczekuje nas inż G., nadleśniczy z Nadleśnictwa Mikołajki, gdyż miejscowy gospodarz Nadleśnictwa Strzałowo jest chory.

— No, co tam — pyta dyrektor S. — będą dziki?

— Być to są — odpowiada — ale gdzie, to nie wiadomo, a lasu dokładnie jeszcze nie znamy.

Ruszamy na dwóch furmankach. Las piękny. Gęste, liczne remizy świerkowe wśród sosnowych drągowin świadczą, że wszędzie możemy się spotkać z dzikami.

— A ty go w oko — śmieje się kolega.

Zostałem sam. Jeszcze raz sprawdziłem kule w dubeltówce, odsunąłem bezpiecznik i czekam. Cisza, tylko słychać jeszcze chrzęszczenie śniegu pod nogami oddalających się myśliwych. Wreszcie i to cichnie.

Naganka jeszcze nie ruszyła. Daleko musi zachodzić, bo miot długi. Cisza, aż w uszach dzwoni. Tylko czasem z szelestem opadnie śnieg z drzewa lub furkot skrzydeł jakiegoś ptaka zawibruje w powietrzu.

Ciszę przerywa daleki odgłos trąbki. To znak dla naganki, by ruszyła. Stoję wpatrzony, jakby urzeczony jasną plamą śniegu w oświetlonej luczce po przeciwnej stronie stoku.



Dzik w miocie *fot. W. Puchalski*

Pierwszy miot głuchy. Drugi to samo. Tylko zając, wolno kicając, wychodzi na linię. Wie, że mu nic nie grozi. A ja cieszę się, że mogę go obserwować. Bo pierwszy raz widzę mazurskiego zająca, różniącego się wyraźnie wielkością od naszych zachodnich przedstawicieli rodziny Leporidów.

Wreszcie trzeci miot. Czoło już rozstawione. Idę dalej na flank ze Zbyszkiem Z., dyrektorem S. i inż. P. Pierwszy staje jakiś nieznany mi z nazwiska myśliwy z Mrągowa, drugi ja. Inni idą dalej, bliżej naganki.

Przede mną zwarty zagajnik sosnowy, dalej debra, skłon pagórka, zarośnięty w dalszym ciągu zwartą sośniną. Ale na drugiej stronie debry, na skłonie — mała luczka, na którą padają w tej chwili jasne promienie słońca.

— Wiesz, chciałbym, aby tu wyszedł dzik — mówię do idącego ze mną Zbyszka Z.

Naganka jeszcze daleko, ale w mroźnym, czystym powietrzu słychać już jej dalekie postukiwania o drzewa, nawoływania i głosy.

Wtem czoło stanowisk przemówiło. Jeden strzał, potem drugi i natychmiast trzeci.

Ręka nerwowo ściska szyjkę osady, wzrok szybciej błądzi po zagajniku i baczniej wypatruje zdobyczy.

Naganka coraz bliżej. Wreszcie mija mnie, przechodzi obok stanowiska sąsiada, zbliża się coraz bardziej do czoła. Jeszcze chwila, a będzie po wszystkim.

Ale ta ostatnia właśnie chwila! Podniesione krzyki naganki w języku polskim i niemieckim, bo naganka składa się z autochtonów.

— Halt, trzymaj, poszedł do tyłu, wildschwein!

Wtem w luczce ruch! Zaczerniała jasna plama śniegu olbrzymią masą dzika.

Sekunda. Srzelba przy ramieniu, strzał z rzutu jak do zająca, nie miałem czasu nawet zemocjonować się.

Dzik po strzale nie zrobił ani kroku, tylko jak szedł, tak złamał się w biegu i upadł. Mała wiotka sosenka zatrzymała jego ciężką masę, gdy w konwulsyjnych drgawkach agonii osuwał się w dół debry. Leżał, tylko łep unosił czasem do góry, ale nie mogłem dobić go drugą kulą, komorę miałem niewidoczną.

Teraz dopiero nastąpiły refleksje. Dzik duży... pewnie odyniec, przypatruję mu się i nadziwić się nie mogę niezwykłym odcieniom sukni. Czy to słońce tak ją oświeca, czy cienie drzew czynią ją dziwną?

Z emocji nie strzelałem do sześciu warchlaków, które migają mi znów po drugiej stronie debry. Ale rodzi się myśl czy przypadkiem nie odstrzeliłem samicy od stada, bo warchlaki były same.

Wreszcie koniec miotu.

Schodzę ze stanowiska. Przedzieram się przez zagajnik, nie zwracając uwagi na sypiący się za kołnierz śnieg.

Podchodzę na pięć kroków do mego dzika, jeszcze rzucającego głową. Strzał za ucho kończy te ruchy.

Dzik mój — to odyniec, ale jaki! Łaciaty, jedno ucho, pół głowy, tabakiera, szynka i kilka plam na tułowiu białe, a z gwizdu wystają białe, długie na 7 cm szable i ciemne, grube fajki. Tylko jedna szabla złamana, brakuje jakieś 1,5 cm.

Nie mąci to mej radości, zwłaszcza, że dyrektor S., gratulując mi mego odyńca i wręczając złomek, nadmienił, że to chyba najlepszy odyniec, jaki padł po wojnie na Mazurach.

Jeszcze kilka miotów pustych i ostatnie przedwieczorne pędzenie w kładących się coraz niżej czerwonych blaskach zachodzącego słońca.

Znów mam flankowe stanowisko, drugie od naganki. Najbliżej naganki staje Zbyszek Z.

Ledwo naganka ruszyła, padł strzał na linii. To nigdy nie pudłujący kolega O. spudłował do lisa. Naganka już mnie minęła, zbliża się do czoła. Zbyszek Z. schodzi ze stanowiska i rozładowując strzelbę, podchodzi do mnie. I ja też wyjmuję kulę z dubeltówki i rozmawiamy o moim łaciatym odyńcu. Przyłącza się do nas miejscowy leśniczy. Wtem trzask tuż koło nas i jednym susem przesadza linię olbrzymi odyniec w odległości dziesięciu kroków od mego stanowiska, na którym stojąc w trójkę rozmawiamy.

Jeszcze raz okazała się słuszną zasada, że polując na dziki nie wolno schodzić ze stanowiska przed sygnałem zakończenia miotu.

Tego dnia tylko mój odyniec stanowił rozkład.

Jazdę powrotną samochodem do Mrągowa odbyłem w milczeniu. Jeszcze raz przeżywałem niecodzienne spotkanie z kapitalnym, łaciatym odyńcem.

Dopiero w czasie obiadu wieczorem wróciłem do normalnego stanu. Dużo wypito toastów, a przemiła gospodyni, żona nadleśniczego z Mrągowa, p. K., nie potrzebowała wysilać się, aby wprowadzić dobry nastrój.

Na drugi dzień polowaliśmy w Nadleśnictwie Mrągowo, Leśnictwo Boże. Dużo strzałów, dużo dzików, ale na rozkładzie tylko 5 sztuk. Kolega O. poprawił swą opinię, waląc z trzech luf swego drylinga do dzików, zabijając lochę i warchlaka. Ale gdyśmy podeszli do jego stanowiska, szukał uporczywie drugiego warchlaka, twierdząc z całą stanowczością, że go trafił i dziczek farbuje. Ile było śmiechu i naigrywań, gdy pokazał nam „farbę". Okazało się, że to czerwone odchody zająca z okresu parkotów.

Ja tego dnia spudłowałem lisa, a odstrzeliłem jeszcze małego warchlaka ze stada 11 sztuk.

Jakież było zdziwienie wszystkich, gdy drugiego dnia po obiedzie, Zbyszek Z., który zajął się wygotowaniem szabli z mego dzika, przyniósł je do pokoju.

Mocne, grube, ciemne fajki najpierw pokazał, a potem z drwiącą miną, zapytał mnie:

— Jak myślisz, wiele centymetrów mają szable?

— Około 21—22 — mówię — jeśli 7 cm wystawało, 2/3 musiało być w szczęce.

Na to „kochany Zbysio" wyciąga szable małe wąskie i krótkie. Zupełnie jakby nie z tego odyńca, który ważył po wypatroszeniu 175 kg.

Szable miały 14.5 cm długości i 2,6 cm szerokości.

Trzeciego dnia pojechaliśmy do innego nadleśnictwa, ale gdzie, tego Wam, Kochani Czytelnicy, nie powiem. Musiałbym bowiem opisać wzór jak najgorzej zorganizowanego polowania. Nic nie widzieliśmy, nic nie zabiliśmy i w południe, przy cudnej pogodzie i zachęcająco wyglądającej kniei, przerwaliśmy polowanie, bo... naganka się zgubiła, co przechyliło szalę całkowicie.

Wieczorem tego dnia byliśmy w Olsztynie, a po całodziennej podróży pociągiem — 4 lutego znów w Warszawie.

Nie wszyscy wrócili z trofeami, ale miły nastrój w czasie polowań i nastrojowa wprost atmosfera w Mrągowie u pp. K., gdzie nas goszczono serdecznie, na długo pozostanie w pamięci wszystkich uczestników tego polowania.

Dwie inne grupy myśliwych zabiły razem 7 dzików, 1 lisa i dziką kaczkę.

Skóra z mego łaciatego odyńca leży pod biurkiem, zdobiła ona pawilon łowiecki na Wystawie Ziem Odzyskanych we Wrocławiu, a szable i fajki z tego odyńca, wiszące u mnie na ścianie, są powodem licznych sporów wśród myśliwych, bo nikt nie chce wierzyć, że tak mocne fajki są z dzika, który posiadał tak słabe i krótkie szable.

M. Mniszek Tchorznicki

Kalendarzyk myśliwski

Stosownie do rozporządzenia Prezydenta R.P. z dn 3 grudnia 1927 r., uzupełnionego rozporządzeniem Ministra Leśnictwa z dn. 12 maja 1948 r. (Dz. U. R P. nr. 28) dozwolone jest polowanie na następujące zwierzęta łowne (znak +):

	w marcu	w kwietniu
wilki	+	+
lisy	+	+
kuny kamionki (domowe)	+	+
łasice, tchórze, gronostaje	+	+
głuszce koguty	od 16-go	+
cietrzewie koguty w województwach: krakowskim, białostockim, rzeszowskim, wrocławskim, łódzkim	—	+
słonki	+	+
dzikie kaczory	+	+
jastrzębie gołębiarze	+	+
krogulce	+	+
wrony siwe i sroki	+	+

Ponadto obowiązują ograniczenia, wydane przez właściwe władze wojewódzkie.

O WŁAŚCIWE UKSZTAŁTOWANIE OBWODÓW ŁOWIECKICH

W epoce współczesnej gospodarki zowiemy łowiskiem teren, na którym zwierzyna łowna żyje i mnoży się na wolności, w warunkach co najmniej zbliżonych do naturalnych, podlegając jednakże w pewnym stopniu opiece i hodowli ze strony człowieka. W tej definicji mamy dwa nader ważne momenty, zasadniczo przeciwstawne, a mianowicie fakt przebywania zwierzyny na wolności i życia jej w warunkach naturalnych oraz czynnik pewnego opanowania, zagospodarowania przez człowieka terenu, umożliwiający hodowlę zwierzyny.

Ten drugi czynnik może występować, w zależności od terenu i gatunku zwierzyny, w sposób nader różny. Wpływ człowieka, na przykład, na głuszca, żyjącego w dużych kompleksach leśnych, będzie zasadniczo odmienny od wpływu jego na warunki bytowania, dajmy na to, bażanta czy kuropatwy. W pierwszym przypadku działalność człowieka będzie skierowana — z uwagi na przyrodzone właściwości zarówno głuszca jak i terenu jego przebywania — na pośrednie wpływanie na wytworzenie pomyślnych warunków dla bytowania danego gatunku zwierzyny, np. drogą zapewnienia mu koniecznego spokoju w łowisku przez ograniczenie eksploatacji lasu przez odpowiednie regulowanie stanu drapieżników itp. Przy tak zwanej drobnej, kulturalnej zwierzynie (zając bażant i kuropatwa) wpływ człowieka na warunki jej bytowania będzie natomiast wyrażał się szeregiem bezpośrednich działań, aż do podkarmiania zwierzyny, zakładania specjalnych kultur, remiz, odświeżania krwi i temu podobnych czynności.

W obu przypadkach będzie jednak istniał ten wpływ człowieka na kształtowanie się warunków bytowania i losy zwierzyny w łowisku, będący rezultatem pewnego stopnia opanowania terenu przez człowieka. Dlatego też nie sposób określać pojęciem łowiska terenu, na którym wprawdzie zwierzyna przebywa, ale który nie jest w praktyce dostępny dla człowieka i jego trwałej, celowej działalności, jak na przykład, szczyty bardzo wysokich gór, dziewicze puszcze, pustynie itp. Z drugiej strony nie będziemy również używali określenia łowiska dla oznaczania terenu, w którym zwierzyna żyje w warunkach krańcowo odmiennych od naturalnych, pozbawiona wolności i zdana z reguły na pobieranie tylko tego pożywienia, którego dostarcza jej człowiek, co zachodzi, na przykład, w zwierzyńcach, obsadzanych jeleniami, danielami i inną zwierzyną płową, dalej w przypadku wolierowej hodowli ozdobnych gatunków bażantów, przy fermach lisich itp.

Obszaru terenu, potrzebnego dla utworzenia odrębnego, samoistnego łowiska, nie sposób z góry oznaczyć. Jest on uzależniony w pierwszym rzędzie od właściwości danego gatunku zwierzyny, od rodzaju jej potrzeb i wynikającego stąd stopnia jej ruchliwości. Również od warunków naturalnych samego łowiska. Teren bowiem, tworzący samoistne łowisko, musi stworzyć zwierzynie warunki, odpowiednie dla jej stałego bytowania w nim w okresie całego roku, przy zaspokojeniu przy tym całokształtu potrzeb danego gatunku zwierzyny, a nie tylko — o czym często się zapomina — potrzeby wyżywienia.

Potrzeby te są bardzo różne, zależne od przyrodzonych właściwości zwierzyny i nie zawsze łatwe do określenia w sposób pewny z góry. Wchodzi tu bowiem w grę zarówno potrzeba uzyskania schronienia przed zjawiskami atmosferycznymi, jak i potrzeby, związane z ochroną gatunku, z rozmnażaniem się zwierzyny. Tym ostatnim służą, na przykład, odrębne tereny rykowisk, tokowisk, cielenia się łań, zakładanie gniazd przez dzikie kaczki itp. Można by w niektórych przypadkach mówić nawet o terenach, służących celom noclegowym, co ma, na przykład, miejsce u bażantów, które, chętnie przebywając cały dzień na polach, gdzie się zresztą często gnieżdżą, z upodobaniem nocują jednak w gęstwinie drzew szpilkowych. Główną rolę gra u zwierzyny, oczywiście, potrzeba wyżywienia, będąca dominantą, ale — powtarzamy — nigdy nie wyłączną potrzebą.

W poszukiwaniu możliwości zaspokojenia tych potrzeb, zwierzyna wędruje w szerokim nieraz promieniu, przenosząc się z terenu na teren, w zależności nie tylko od przyrodzonych warunków danego łowiska, ale i od pory roku, pogody itd., jak również od zachodzących dookoła niej zjawisk, wywołanych działalnością człowieka, jak np. żniwa na polach, eksploatacja lasu, spuszczanie wody na stawach rybnych itp.

Poznanie przyczyn migracji zwierzyny i w wyniku tego sposobów jej zapobieżenia czy też ograniczenia, jest nader ważne dla myśliwego - hodowcy. Jako przykład przytoczyć tu możemy sprawę urządzania wodopojów i żerowisk (paśników, sztucznych poletek) w rewirach leśnych, jako sposób ograniczenia wędrówek zwierzyny czarnej i płowej w poszukiwaniu paszy, a tym samym ograniczenia odszkodowań za poczynione przez nią szkody łowieckie. Tym samym celom ograniczenia migracji służą również remizy stałe i czasowe, dające osłonę drobnej zwierzynie w okresach, w której ona jej potrzebuje.

Poznanie przyczyn i zasięgu naturalnej migracji zwierzyny jest znowu nieodzowne dlatego, abyśmy mogli w przybliżeniu określić naturalne granice danego łowiska, tzn. granice obszaru, w jakim zwierzyna przez nas hodowana porusza się w ciągu roku w sposób regularny, choć nieraz tylko okresowy. Obszar ten hodowca zwierzyny musi mieć w całości w swojej dyspozycji, a przynajmniej pod swoją kontrolą, jeżeli naprawdę chcemy mówić o hodowli zwierzyny, a nie tylko o doraźnym polowaniu na nią. Hodowla zwierzyny suponuje bowiem istnienie możności trwałego, regularnego i ciągłego oddziaływania myśliwego - hodowcy na warunki bytowania i losy zwierzyny, co możliwe jest tylko w warunkach, w których znajduje się ona stale na terenie, podległym jego kontroli.

Z powyższych rozważań wynika, iż błędny jest tak często spotykany podział łowisk (rewirów) na polne i leśne. Jeżeli pominiemy bowiem kuropatwy, które rzeczywiście oznaczają się małą tendencją do zmieniania swych polnych siedzib w zależności od pory

roku, pogody itp. — dalej pewne gatunki ptactwa błotnego i leśnego (głuszec cietrzew, jarząbek) i wreszcie niektóre drapieżniki jak na przykład ryś. Pozostałe gatunki zwierzyny i to zarówno grubej, jak i drobnej, przebywają, w zależności od przeróżnych okoliczności, zarówno na terenie lasów, jak i na terenie pól. O łowiskach czysto polnych lub też czysto leśnych można mówić raczej wyjątkowo, a mianowicie w tych przypadkach, gdy w danej okolicy nie ma zupełnie lasów lub też, gdy mamy do czynienia naprawdę z bardzo dużymi i zwartymi kompleksami leśnymi, co jednak zachodzi raczej rzadko. Idealne zaś łowisko będzie z reguły łowiskiem o charakterze mieszanym, polno-leśnym, posiadającym właśnie na skutek tego najlepsze, bo najbardziej zróżniczkowane warunki dla hodowli różnych gatunków zwierzyny, dla możliwie pełnego zaspokojenia ich różnorodnych potrzeb.

Rozmiary tego idealnego łowiska będą znowu zależały, o czym była już wyżej mowa, zarówno od istniejących w nim warunków naturalnych, jak i od gatunku i liczebności hodowanej w nim zwierzyny, od stopnia jej ruchliwości, zależnego znowu od specyficznych potrzeb danego gatunku i możności należytego zaspokojenia ich w łowisku.

*
* *

Uwagi powyższe mogą wydawać się truizmami. Sądzimy jednak, iż w łowiectwie, tak jak i w innych dziedzinach gospodarki narodowej i w życiu w ogóle, rozważania teoretyczne i wyprowadzane z nich wnioski mogą i winny służyć jako sprawdzian stanu faktycznego, jako kryterium dla jego wartościowania i wysuwania praktycznych wniosków na przyszłość. Spróbujmy to uczynić w odniesieniu do istniejącego u nas w chwili obecnej stanu w zakresie gospodarki terenami łowieckimi.

W wyniku powstałych po wojnie przeobrażeń społeczno - gospodarczych zanikł u nas zupełnie typ łowiska (obwodu łowieckiego) własnego, w którym wykonywanie prawa polowania było oparte na prawie własności do terenu, na którym przebywa zwierzyna. Pozostał i upowszechnił się typ łowisk dzierżawionych przez użytkowników polowania od właścicieli terenów, nie wykonywujących na nich z reguły tego prawa. Nastąpiło zatem definitywne rozczepienie pomiędzy osobą, korzystającą z prawa polowania na danym terenie, a właścicielem jego, ciągnącym z niego pozostałe pożytki.

Jako dysponent terenów łowieckich występują u nas trzy odrębne podmioty prawne, a mianowicie: dyrekcje lasów państwowych w stosunku do terenów leśnych administracja majątków państwowych w stosunku do obszarów polnych i stawowych, będących w jej zawiadywaniu, wreszcie gminy wiejskie w stosunku do pozostałego na ich terenie obszaru, nie będącego lasem, majątkiem państwowym lub obwodem rybackim.

W wyniku tak rozstrzelonej dyspozycji terenami powstają obwody łowieckie, zamknięte w granicach — z punktu widzenia łowieckiego — zupełnie przypadkowych i dowolnych, czasem nawet absurdalnych, gdyż pokrywających się li tylko z granicami administracyjnymi obiektów gospodarczych, podlegających zarządowi poszczególnych dysponentów terenu.

Ten stan rzeczy jest na terenie przeważającej części Ziem Odzyskanych jeszcze pogorszony faktem, iż w wyniku specyficznej ewolucji stosunków agrarnych pod rządami zaborców powstawała tu bardzo często szachownica terenów tzw. włościańskich i dworskich, a poza tym zatarła się wyraźna ongiś linia odgraniczenia pól od lasów, drogą powstawania tzw. enklaw, działek rolnych w lesie itp. Ponadto parcelacja majątków oddała w zarząd dyrekcji lasów państwowych wcale poważne ilości drobnych kompleksików leśnych, które zarówno dawniej, w połączeniu z otaczającymi ich gruntami rolnymi tego samego właściciela, jak i nawet teraz, mimo zmian zaszłych w tytułach własności, stanowiły i nadal stanowić powinny dobre mieszane, polno-leśne rewiry łowieckie, na których terenie te małe laski grały rolę naturalnych remiz. W wyniku oddania ich jednak w zarząd dyrekcji lasów państwowych „zaawansowały" one do roli samodzielnych rewirów leśnych, mimo nieposiadania przez nie potrzebnych po temu, z punktu widzenia łowiectwa, właściwości.

Gdybyśmy, biorąc do ręki mapę sztabową dowolnie wybranego powiatu czy gminy, wykazującą nam w sposób dość dokładny ukształtowanie i rzeźbę terenu, rozmieszczenie poszczególnych jego elementów (lasy, łąki, wody, drogi komunikacyjne, osiedla itp.), zechcieli nanieść na nią granice istniejących tam obwodów łowieckich, które wszak w zasadzie powinny stanowić odrębne, samoistne łowiska, to przekonalibyśmy się naocznie o sztuczności — żeby nie użyć innego mocniejszego określenia — istniejącego w terenie ukształtowania tych rzekomo odrębnych, pełnowartościowych łowisk. Teren gminy stanowi bowiem z reguły odrębny obwód łowiecki, pocięty jednak mnóstwem enklaw, wysp i wysepek. Są to właśnie te „rewiry leśne", tj. obszary leśne, sztucznie odcięte od swego naturalnego polnego zaplecza lub też obszary majątków, będących pod zarządem kilku odrębnych przedsiębiorstw i instytucji państwowych.

Ta mnogość dysponentów terenem łowieckim powoduje siłą rzeczy, iż na obszarze danej gminy poluje z reguły kilka kółek myśliwskich. Zarezerwowały sobie one tereny w sposób przypadkowy, w zależności od tego, gdzie kto mógł coś dostać, gdzie kto miał stosunki, do którego spośród dysponentów łatwiej było komuś dojechać.

Nieszczęśliwym jednak zbiegiem okoliczności zwierzyna nic się na tym nie rozumie i, wbrew wszelkim granicom i kompetencjom, zmienia w ciągu nocy swe miejsce pobytu, przechodząc wskutek tego spod władzy Ministra Leśnictwa pod opiekę Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych lub też samorządu, podległego kancelarii Rady Państwa albo też na odwrót. Nie było by jeszcze zresztą nic groźnego w tym notorycznym braku u zwierzyny znajomości obowiązujących przepisów, gdyby nie drobna, ale istotna przy tym okoliczność, iż jednocześnie ze zmianą kompetencji ministra zmienia się też z reguły o wiele donioślejsza w praktyce, niestety, osoba bezpośredniego łowieckiego użytkownika terenu.

Żart na stronę! Każdy, kto polując jeździ w teren, ma możność naocznego przekonania się jak bardzo odmiennie wygląda tam rzeczywistość w porównaniu z wszelkimi papierowymi danymi. W zestawieniu dzierżawionych przez półko terenów figuruje bowiem imponująca ilość nazw leśnictw, majątków i gmin, z jeszcze bardziej imponującą ilością hektarów. Jak

często jednak okazuje się na miejscu, iż ta okrągła suma hektarów lasu, to w rzeczywistości wąska kiszka lub nawet parę kiszeczek lasków, wciśniętych między obce tereny, tak iż przy polowaniu trzeba ciągle omijać cudze enklawy i wyspy, co zdarza się zresztą nie tylko przy polowaniu w lesie, ale nawet i na polach.

z jego nakładów. Ten stan rzeczy powoduje tylko zachętę do wzajemnego wystrzeliwania zwierzyny, do urządzania polowań na wyścigi, kto wcześniej zdąży wystrzelać te nieliczne „wspólne" zające.

Przy grubej zwierzynie, z natury rzeczy bardziej ruchliwej od drobnej, i przy której hodowli zachodzi moment szkód łowieckich, a co za tym idzie, odszkodowań za nie, obserwujemy to samo zjawisko. Często nie ma amatorów na dzierżawę polowania w łowiskach, w których ta gruba zwierzyna ma swoją ostoję, a to z uwagi na koszta związane z jej hodowlą. Poszukiwane są natomiast z reguły sąsiadujące z nimi obwody, właśnie te, w których zwierzyna czyni szkodę. Odszkodowanie zapłaci bowiem ktoś inny, ale biada dzikowi czy nawet jeleniowi, który niebacznie, pchany do tego przyrodzonym instynktem przekroczy tę



Ostatnia po śniegu wyprawa do knieі *rys. L. Maciąg*

Co ważniejsze jednak od trudności technicznych przy urządzaniu polowań, to okoliczność, iż w tych warunkach poszatkowania terenu niesposób myśleć o racjonalnej hodowli zwierzyny. Nikt nie będzie bowiem czynił nakładów, związanych z konieczną repopulacją łowisk, z ochroną i zagospodarowaniem terenu, jeżeli nie posiada gwarancji, iż zwrócą mu się one w postaci pomnożenia zwierzostanu, po prostu, jeżeli ktoś inny będzie czy nawet tylko może korzystać

niewidoczną dla niego granicę „łowiska". Padnie on niechybnie ofiarą „myśliwego", użytkownika sąsiednich obwodów.

Czas najwyższy skończyć z anarchią, panującą w podziale terenów łowieckich, i to zarówno w interesie ochrony samej zwierzyny, jak i zabezpieczenia praw właścicieli terenów oraz osób, wykonywujących prawo polowania. Stosunki, będące wynikiem historycznej ewolucji prawa własności gruntu, muszą ulec radykalnej zmianie w dobie gospodarki planowej, kierującej się momentem celowości, w imię nadrzędnych interesów ogółu. Stosunki te nie odpowiadają zresztą dzisiejszym potrzebom ani często nawet obecnemu stanowi faktycznemu, a są jedynie wynikiem tradycjonalizmu, hamującego postęp.

Należy więc wykorzystać zbliżający się sezon ochrony, aby nareszcie dokonać, w oparciu o wiedzę łowiecką, podziału terenów na łowiska samowystarczalne, żywotne i pełnowartościowe, bez względu na istniejące granice administracyjne poszczególnych właścicieli gruntu. Kierować się przy tym należy jedynie układem terenu, jego naturalnymi zasobami oraz istniejącymi lub projektowanymi do obsady gatunkami zwierzyny.

Tylko w ten sposób stworzymy trwałe materialne podstawy w zakresie czynnika terenu dla odnowienia łowiectwa w Polsce, dla dostosowania go do nowych, zmienionych stosunków gospodarczo-społecznych. Tylko w ten sposób umożliwimy hodowcom zwierzyny inwestowanie w tereny łowieckie, stworzymy sprzyjającą temu atmosferę i realne po temu warunki. Tylko w ten sposób stworzymy podstawę dla gospodarczego i sprawiedliwego przy tym uregulowania sprawy odszkodowań za szkody łowieckie, co na dłuższą metę jest sprawą życia i śmierci dla grubej zwierzyny.

Odpowiedni z punktu widzenia potrzeb łowiectwa podział kraju na obwody łowieckie, będące w rzeczywistości, a nie tylko na papierze, z uwagi jedynie na ich obszar, samoistnymi, pełnowartościowymi łowiskami, da nam ponadto wiele jeszcze korzyści ubocznych. Należeć tu będzie między innymi, umożliwienie w ten sposób usprawnienia i potanienia ochrony drogą wykorzystania na przykład personelu służby leśnej dla ochrony sąsiadujących z lasami pól, dalej możność pewnego wyrównania — użyjmy tu terminu ekonomicznego — deficytów eksploatacyjnych, nieuniknionych przy pewnych terenach i gatunkach zwierzyny, nadwyżkami eksploatacyjnymi innych sąsiednich terenów; wreszcie umożliwi to wydzielenie odpowiednich obszarów dla celów wyłącznej produkcji materiału hodowlanego, zarówno dla potrzeb obsady krajowych łowisk, jak i dla eksportu żywej zwierzyny.

Ponadto stworzenie dostatecznie wielkich łowisk, skoncentrowanych na pewnych terenach, ułatwi niewątpliwie racjonalną administrację nimi dzierżawiącym je kółkom łowieckim, szczególnie przy kontraktach wieloletnich. Wpłynie się w ten sposób, w granicach realnej możliwości, na zmniejszenie i złagodzenie momentu przestrzennego oddalenia pomiędzy myśliwym, który winien i pragnie być hodowcą, a samym terenem hodowli, co jest może główną strukturalną bolączką naszego dzisiejszego łowiectwa.

Wreszcie rewizja dotychczasowego stanu rzeczy w zakresie dyspozycji terenami łowieckimi winna wpłynąć na usunięcie szeregu anomalii, wywołanych swego rodzaju zachłannością niektórych prowincjonalnych kółek myśliwskich, które, korzystając z tego, iż były blisko, nabrały wiele terenów, ponad swe możliwości nie tylko opolowania ich, ale — co znacznie gorzej — należytego zagospodarowania. Upajanie się ilością „posiadanych" hektarów, to objaw często, niestety, spotykany w wielu kółkach, hołdujących błędnej i szkodliwej polityce, iż słaby stan zwierzostanów na posiadanych terenach i — co za tym idzie — osiąganych na polowaniach wyników, odrabiać można i trzeba ilością opolowywanych hektarów.

Przechodząc do sprawy praktycznej realizacji wyżej wysuniętych dezyderatów, wyobrażamy ją sobie w sposób następujący:

1. Utworzony zostanie w siedzibach województw organ kolegialny, powołany do opracowania planu podziału obszaru województwa na racjonalne, z punktu widzenia potrzeb łowiectwa, rewiry (obwody łowieckie).
2. W skład tego organu wchodzić powinni delegaci ministrów: leśnictwa oraz rolnictwa i reform rolnych, dalej delegat samorządu wojewódzkiego i wreszcie dwaj delegaci wojewódzkiej rady łowieckiej.
3. Decyzje omawianego organu, odnośnie planu podziału terenu na łowiska, zapadać będą większością głosów, po zasięgnięciu opinii powiatowych rad łowieckich. Opinia przedstawicieli samorządu powiatowego wydaje się nam zbędna, gdyż interesy gmin, jako beneficjentów czynszów dzierżawnych, nie zależą właściwie od sprawy ukształtowania łowisk. Opinię natomiast reprezentantów miejscowych myśliwych uważamy za konieczną, z uwagi na posiadaną przez nich lepszą znajomość terenu i lokalnych jego właściwości i potrzeb.
4. Organ powyższy dokonywałby przydziału nowoutworzonych obwodów łowieckich, stosując ewentualnie uproszczone przetargi w przypadku większej ilości reflektantów oraz mógłby być pomyślany jako organ nadzorczy nad gospodarką zarządów obwodów łowieckich, przede wszystkim w zakresie sprawiedliwej repartycji wpływów z opłat za dzierżawę terenów. Wreszcie organ ten mógłby sprawować arbitraż w przypadku sporów między właścicielami terenów czy ich reprezentantami z jednej strony, a wykonawcami prawa polowania z drugiej.

Szkicując w powyższy sposób zarys koncepcji realizacyjnej, proponowanej przez nas reformy „terenowej", zdajemy sobie dobrze sprawę z tego, iż suponuje ona nowelizację obowiązującego ustawodawstwa łowieckiego. Wydaje się nam jednak, iż potrzeba tej nowelizacji jest tak oczywista, iż zezwala to na swobodne postulowanie na przyszłość, w oderwaniu od obowiązujących jeszcze przepisów formalnych, pomyślanych w obliczu krańcowo odmiennych od obecnych warunków, i które to przepisy wskutek tego i tak będą musiały ulec zmianie.

Pragnęliśmy w szczupłych ramach artykułu naświetlić wagę problemu należytego, z punktu widzenia potrzeb łowiectwa, ukształtowania i użytkowania terenu, będącego miejscem hodowli zwierzyny. W gospodarce łowieckiej teren, wyodrębniony w łowisko, staje się sui generis warsztatem produkcyjnym, zasługującym przez to na pełną ochronę i poparcie ze strony Państwa, co nastąpić może, między innymi, przede wszystkim drogą dostosowania obowiązujących przepisów do zamierzonych planowych efektów realizacyjnych.

Leon Popławski

Warszawa, grudzień 1948 r.

WŁODZIMIERZ KORSAK

UWAGI O GŁUSZCU

Artykuł kolegi Władysława Zabiełły o głuszcach, zamieszczony w Jednodniówce „Łowiectwo na Pomorzu“, wydanej w Toruniu przez wojewódzkie rady łowieckie Wielkiego Pomorza, wzniecił w mej duszy szereg wspomnień i zwrócił myśli moje do królewskiego ptaka, którego ostatni raz słyszałem i widziałem na wiosnę 1939 r., a zatem bez mała dziesięć lat temu.

Poruszyć też tu chcę parę szczegółów, wspomnianych w powyższym artykule. A więc naprzod kwestia odrębności pieśni głuszcowej na różnych terenach. O ile sobie przypominam, świetny myśliwy i pisarz łowiecki, a szczery mój przyjaciel, Józef Woyniłowicz, jeszcze przed pierwszą wojną światową w którymś ze swych artykułów w Łowcu Polskim pisał już o rozmaitości pieśni głuszcowej. Uderzyła go różnica pomiędzy pieśnią głuszca poleskiego a witebskiego.

Natomiast stwierdzić muszę z całą pewnością, że granica tej różnicy nie jest wyraźna i przejście od „tonu głównego“ do całkowitej przerwy jest stopniowe. Jeżeli głuszce polskie, jak również nalibockie i grodzieńskie, korkują wyraźnie i dźwięcznie, to głuszce z Puszczy Rudnickiej i znad jeziora Narocz dźwięk ten wydają znacznie słabszy, niekiedy ledwo słyszalny, głuszce zaś z Puszczy Hoduciskiej (pow. święciański. na północ od Wilna), niektóre korkują słabo, niektóre zaś nie wydają już żadnego dźwięku. Sądzę, że ostateczna granica słyszalnego korkowania biegnie wzdłuż koryta Dźwiny, gdyż na północ od tej rzeki korkowania nie słychać już wcale. U głuszca zachodniego granicy tej ułowić niestety, nie można, gdyż trzyma się on kilku siedlisk północnych, w środku zaś kraju i na południu brak go zupełnie, aż do strefy podgórskiej.



Sezon się rozpoczął... *fot. A. Parzyński*

Jeszcze przed jego pierwszym polowaniem na Witebszczyźnie, spieraliśmy się w Rydze, jako sztubacy, i nie mogliśmy się porozumieć, co do owego „tonu głównego“ czy, korka“, kóry on nazywał „glokaniem“. Ja bowiem, znający podówczas tylko głuszce witebskie, nie słyszałem nigdy „glokania“, on zaś twierdził, że zanim przy podchodzie posłyszy się „telekanie“ — podwójny drewniany stukot, już słyszeć można, jako najmocniejszy odgłos, „glokanie“. Od razu go też w puszczy północnej zastanowił i uderzył brak tego dźwięku, który zastępowała równie długo trwająca przerwa.

Mam na sumieniu obecnie równo sto głuszców zabitych na toku, słyszanych zaś zapewne ilość potrójną, przy czym zasięg terytorialny polowań rozciągał się prawie bez przerwy od lasów pskowskich do Wołynia. Nie znam głuszców górskich ani pomorskich. Co do pierwszych jednak, to cała obszerna literatura (głównie niemiecka) stwierdza, że „ton główny“ wydają one bardzo dobitnie i dźwięcznie, a dopiero z artykułu kol. Zabiełły dowiedziałem się, że głuszce pomorskie identyczne są pod tym względem z głuszcami północnymi.

Zgadzam się najzupełniej z kol. Zabiełłą co do tego, że „coś tam słychać“ podczas przerwy zastępującej korkowanie, gdyż w Hoduciszkach również słyszałem „coś“, na północ jednak od Dźwiny nie było nic słychać na tę odległość, na którą normalnie do głuszca się strzela (15 — 40 kroków). Nie przesądza to jednak sprawy i możliwe jest zupełnie, że na odległość 3 — 5 kroków i na północy coś by można było usłyszeć.

Drugą kwestią jest waga głuszców. Największe głuszce spotykałem na Polesiu, rekord pobił kogut zabity blisko jeziora Wygonowskiego nad Szczarą — 5,4 kg. Grodzieńskie też miały dobrą wagę — do 4,8 kg. rudnickie już nieco mniej, a hoduciskie średnio 4,2 kg. Sądzę, że surowa i długa zima północna, tak jak pisze kol. Zabiełło, ma tu swój wpływ, co miałoby też znaczenie i u głuszca górskiego, zmuszonego również do przebycia ciężkiej i śnieżnej, chociaż krótszej niż na północy zimy. Na północy śniegi dopiero pod wiosnę uniemożliwiają dotarcie głuszca do zasypanej żurawiny (w czasie gdy od przedwiosennych promieni słonecznych tworzy się skorupa śnieżna) i to tylko czę-

ściowo, gdyż stale kopane przez głuszce pod śniegiem korytarze, nieraz kilkumetrowej długości, wewnątrz już nie zamarzają i umożliwiają ptakom dotarcie do ulubionej jagody. Jednakże pamiętać należy, że żurawina, zwłaszcza zmarznięta, w małym tylko odsetku stanowić może pożywienie głuszca, wymagającego treściwej strawy, która też wówczas składa się w 90% z igliwia sosnowego. A dieta ta trwa około pięciu miesięcy, zamiast 2—3 miesięcy poleskich, i to może mieć wpływ decydujący.

Przykład gremialnego toku na ziemi, wspomnianego przez autora w końcu artykułu, przywodzi mi na pamięć dwa podobne wypadki. Jeden miał miejsce na Polesiu w lasach na południe od jeziora Wygonowskiego. W okolicy, zupełnie dzikiej, nieodwiedzanej przez żadnych myśliwych, policzyłem na zapadach przeszło 12 kogutów, siadających w końcu długiej wyspy leśnej, leżącej wśród trawiastych bagien. W rannym podchodzeniu nie dosłyszałem żadnej pieśni, aż dopiero gdy dotarłem do końca wyspy, o uszy me obił się zlany w jedno klekot niedaleki, ale jakby zatarty, idący od sąsiedniej wyspy. Gdy przeszedłem wolnym krokiem sto metrów, dzielącego mnie od owej wyspy bagna, dosłyszałem wyraźnie pieśń jednego głuszca trochę z boku od reszty klekotu, w którym poszczególnych pieśni niesposób było rozróżnić. Obawiając się spłoszyć podskakiwaniem resztę kogutów, zacząłem skradać się do tego pojedynka, nie bacząc na rytm pieśni i w pewnej chwili ujrzałem tuż na skraju bagna, na ziemi, wydłużony kształt ptaka, który właśnie pieśń przerwał. W tej samej chwili głośniejszy z prawa łopot skrzydeł oznajmił zerwanie się drugiego ptaka, który nadleciał do mojego koguta, oba zderzyły się mocno ze sobą i odskoczyły od siebie. Nie namyślając się wziąłem na cel lewego i pociągnąłem za cyngiel. Po strzale prawy zaczął się cofać krokiem od swego przeciwnika, wobec czego wypaliłem doń z drugiej lufy — i oba zostały na miejscu. Było jeszcze dość ciemno i odległość wynosiła około 20 kroków: tak zrobiłem jedynego dubleta do głuszców na toku. Po strzałach tokowisko główne zamilkło zupełnie, jednak ptaki się nie porywały, a musiały odbiec na piechotę, gdyż łopotu skrzydeł nie słyszałem zupełnie, chociaż nie krępowałem się już wcale w ruchach, dążąc do swej zdobyczy. Tego samego ranka zabiłem już za widna jeszcze dwa koguty, grające pełną pieśnią na czubach sosen tej samej wyspy. Drugi wypadek miałem w lasach jeziorańskich, na północny wschód od Grodna. Nie słysząc normalnej pieśni z drzewa, podkradłem się do tokującego zbiorowiska głuszców, a ponieważ w ogóle nie miałem zamiaru strzelać, więc zza przykrycia, z odległości 30 kroków przyglądałem się tańcom i bójkom siedmiu kogutów, przy których zgrupowało się około 10 głuszyc. O dobrym już świcie udało mi się zrobić zdjęcie (niezbyt co prawda dobre, gdyż trochę niedotrzymane), na którym widać pięć tokujących na ziemi kogutów. Życzę koledze Zabielle takiego widoku, za którym i sam również tęsknię.

Włodzimierz Korsak

Gorzów 6.I. 1949 r.

INŻ. EUGENIUSZ KNIAŻYKOWSKI

CO KAŻDY MYŚLIWY POWINIEN WIEDZIEĆ O PROCHU BEZDYMNYM

Podstawowym czynnikiem, warunkującym jakość i bezpieczeństwo strzału, jest dobra amunicja, a przede wszystkim proch. Toteż każdy, kto ma do czynienia z bronią, a przede wszystkim myśliwy, który często sam sporządza swoje naboje, musi choć pobieżnie zapoznać się z pochodzeniem, fabrykacją, gatunkami oraz właściwościami prochów, używanych do amunicji myśliwskiej.

Konieczność tę potęguje fakt, że do wyrobu amunicji stosowane są przez niektórych myśliwych prochy, pochodzące z rozbrojenia amunicji wojennej, której duże ilości leżały na polach niedawnych bitew.

Używane w myślistwie prochy bezdymne są względnie niedawnego pochodzenia, w przeciwieństwie do prochu czarnego, używanego od czasów średniowiecza. Najważniejsza część składowa prochów bezdymnych — nitroceluloza, została otrzymana w 1845 r. przez chemika Schönbeina, ale produkt ten był niestały i dopiero dzięki badaniom szeregu chemików, około 1863 r., nauczono się fabrykować nitrocelulozę, zdatną do użytku przemysłowego.

Proces fabrykacji nitrocelulozy (nazwa techniczna — bawełna strzelnicza), polega na działaniu mieszaniny kwasów: azotowego i siarkowego na bieloną watę bawełnianą. Proces ten, zwany nitracją, w zależności od mocy użytych kwasów, czasu działania i temperatury, daje szereg tzw. **estrów** celulozy, mających liczne zostosowania techniczne: prochy bezdymne, materiały kruszące, filmy, celuloid, lakiery itp. Poza nitrocelulozą do fabrykacji niektórych gatunków prochu bezdymnego (zwłaszcza w Anglii i Włoszech), używa się jeszcze **nitrogliceryny**, odkrytej w 1846 r. przez chemika Sobrero. Jest to ciecz oleista, łatwowybuchająca i w stanie wolnym nie używana. Natomiast ma ona bardzo ważną własność tworzenia z nitrocelulozy masy plastycznej i w tym stanie jest względnie bezpieczna.

Wielkie zasługi w sprawie przystosowania nitrogliceryny do celów przemysłowych położył Alfred Nobel, słynny fundator nagród naukowych jego imienia.

Większość prochów myśliwskich — są to prochy składające się z czystej nitrocelulozy odpowiednio spreparowanej, z nieznacznym dodatkiem ciał, wpływających na stałość chemiczną (stabilizatorów), bądź na szybkość spalania się prochów (flegmatyzatorów).

W ogólnych zarysach proces fabrykacji polega na ugniataniu mieszaniny nitrocelulozy z alkoholem i eterem na masę plastyczną, podobną do zwykłego ciasta. Ciasto to prasuje się na nici (wstęgi). Po podsuszeniu, wstęgi kraje się na małe płytki, które się przesiewa i moczy w gorącej wodzie, a później wysusza ostatecznie i w końcu poddaje procesowi flegmatyzacji, o

czym będzie jeszcze mowa, oraz lekkiemu podgrafitowaniu celem zmniejszenia elektryzacji, która objawia się w stroszeniu się prochu, przylepianiu do różnych przedmiotów itp.

Prochy żelatynowane mają bardzo ważną właściwość spalania się w swojej masie **warstwami równoległymi**. tj. tak, że ziarno opala się ze wszystkich stron na jednakową głębokość. Jako rezultat tego zjawiska występuje druga właściwość: szybkość spalania się ziarnka zależnie od jego grubości oraz formy. Przeto formą ziaren oraz ich grubością można regulować szybkość spalania się ładunku prochowego.

Ilość gazów prochowych, powstających ze spalania się ładunku prochowego w danym momencie, jest zależna od łącznej powierzchni wszystkich palących się ziaren. Powierzchnia ta dla ziaren w formie płytki stale maleje, w formie rurek zaś pozostaje stałą, gdyż w miarę spalania się powierzchnia wewnętrzna rośnie, a zewnętrzna maleje — co się równoważy. Jeżeli weźmiemy ziarno w formie walca z kanalikami, to łączna powierzchnia w miarę spalania się ziarna rośnie.

Taki proch spala się stopniowo, **„progresywnie"**. tj. w miarę spalania się ładunku ilość gazów prochowych w jednostce czasu rośnie.

Progresywne palenie się ładunku prochowego jest bardzo **ważną zaletą**. która staje się zrozumiała, jeżeli zapoznamy się ze zjawiskami, zachodzącymi w komorze nabojowej broni podczas strzału.

Z chwilą, kiedy spłonka zapala ładunek prochowy, część tego ładunku spala się bardzo szybko, wytwarza dużo gazów, które nie mają jeszcze ujścia, gdyż pocisk (śrut) jeszcze nie rozpoczął ruchu postępowego, powodując wzrost ciśnienia, które musi przezwyciężyć bezwładność pocisku i opory ruchu. Ponieważ procesy spalania się prochu zachodzą bardzo szybko, więc ciśnienie w tym pierwszym momencie rośnie gwałtownie i, przy dużym oporze dla ruchu pocisku, może przybrać rozmiary niebezpieczne dla wytrzymałości lufy. Większość wypadków rozerwania luf spowodowana jest wzrostem oporu dla ruchu pocisku, na skutek jakiejś przeszkody w lufie.

Idealnym przeto prochem będzie taki, który w momencie, gdy pocisk nie rozpoczął jeszcze ruchu postępowego, spala się możliwie wolno, natomiast, kiedy pocisk porusza się już w lufie ruchem przyśpieszonym i przestrzeń między łuską, a pociskiem rośnie, zaś ciśnienie spada, zaczyna się spalać coraz prędzej i wyrównywa spadek tego ciśnienia. Taki proch pozwala wyzyskać lepiej energię w nim zawartą.

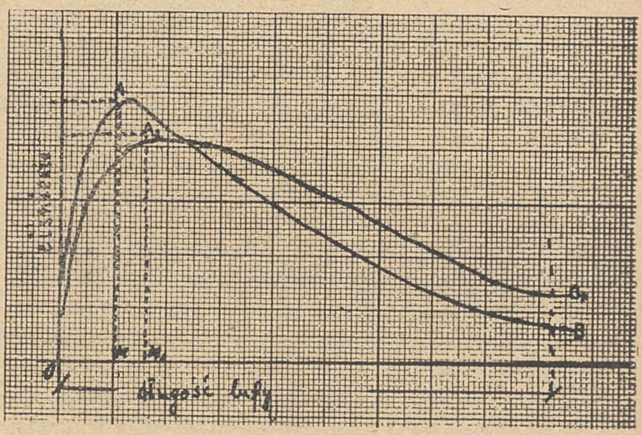
Zjawiska te nabierają przejrzystości, jeśli zastosujemy do nich metodę graficzną. Spójrzmy na rysunek.

Ciśnienie w lufie ma w czasie strzału przebieg następujący: jeżeli na osi OL naznaczymy długość lufy, a na osi OP ciśnienie, powstające w lufie przy różnych położeniach przebiegającego pocisku, to dla prochów nieprogresywnych otrzymamy krzywą OAB W punkcie M lufy, ciśnienie przybiera wielkość maksymalną AM i na to ciśnienie musi być obliczona wytrzymałość broni. Natomiast dla prochu progresywnego otrzymamy krzywą AO_1B_1. Widzimy, że ciśnienie maksymalne jest w tym wypadku mniejsze (A_1M_1) i następujące nieco później w położeniu M_1.

Skuteczność działania pocisku na zwierzynę zależy od energii kinetycznej. Energia ta jest tym większa, im większa jest praca gazów prochowych. a ta ostatnia, jak nas uczy rachunek i doświadczenie, jest tym większa, im większa jest płaszczyzna OABL, zawarta między krzywą ciśnień i osią OL.

Dla prochu nieprogresywnego będzie to płaszczyzna OABL, a dla prochu progresywnego OA_1B_1L. Ponieważ ta druga jest zwykle większa, więc proch progresywny przy mniejszym ciśnieniu maksymalnym daje nam większą prędkość początkową, tj. lepsze warunki strzału i mniej zużywa broń. Dlatego też współczesne prochy płytkowe, szczególnie przeznaczone do strzałów kulowych z luf gwintowanych, przy których występują z reguły duże ciśnienia (około 3000 kg/cm²), poddaje się procesowi flegmatyzacji.

Flegmatyzację prochów płytkowych uskutecznia się w wirujących bębnach miedzianych. Do bębna wsypuje się proch wysuszony, z lekka się go podgrafitowuje i zwilża roztworem flegmatyzatora. Jako flegmatyzatory stosuje się takie substancje, jak np. kamfora, niektóre pochodne mocznika, które tworzą z nitrocelulozy roztwory stałe w rodzaju celuloidu. Flegmatyzator przenika w głąb ziarna prochowego na pewną głębokość i im dalej od powierzchni, tym w mniejszej ilości. Sam środek ziarna pozostaje nienaruszony. Powłoka taka jest trudniej zapalna i spala się wolno, ale kiedy płomień dojdzie do warstwy niesflegmatyzowanej, szybkość spalania wzrasta. Otrzymuje się efekt progresywnego spalania się prochu.



Najbardziej progresywnych prochów używa się do broni kulowej, gwintowanej.

Są to prochy ciężkie, mocno grafitowane. Waga 1 litra takiego prochu wynosi około 850 g, a nawet wyżej dla nowoczesnej amunicji myśliwskiej o dużej prędkości pocisku. Pełne spalanie takiego prochu wymaga ciśnienia powyżej 2000 kg/cm².

Do strzałów śrutem z broni gładkiej prochy te nie nadają się, bo spalanie jest niepełne, ciśnienie bardzo małe, ale i szybkość śrutu bardzo mała — efekt strzału bardzo słaby. Użycie ich w broni śrutowej nie zagraża tej ostatniej, ale nie daje pożądanego rezultatu.

Strzał śrutowy wymaga prochu wprawdzie **progresywnego**, ale znacznie żywszego, szybciej spalającego się.

Szybkość spalania się prochu jest również zależna od ciśnienia, przy którym to spalanie się odbywa. Ponieważ w broni myśliwskiej śrutowej ciśnienie nie przekracza na ogół 600 kg/cm² (czyli 600 atmosfer). więc proch musi się spalać w tych warunkach kompletnie.

Proch śrutowy jest lżejszy (waga 1 litra = 500 g). słabiej grafitowany i flegmatyzowany. Strzelanie tym prochem kulami z luf gwintowanych jest **wręcz**

niedopuszczalne. W warunkach strzału kulowego, proch taki daje za wysokie ciśnienia, niebezpieczne dla wytrzymałości broni, gdyż znacznie słabszy opór stanowi uruchomienie w gładkiej szerokiej lufie ładunku śrutu, a znacznie większe — przeciśnięcie pocisku płaszczykowego przez ostre gwinty wąskiej lufy nowoczesnej broni kulowej.

Dla oceny prochu wykonuje się szereg prób, którym powinno się poddawać każdą partię wypuszczanego na rynek prochu myśliwskiego. Najważniejsze z nich są:

1. Próba stałości chemicznej.
2. Zawartość wilgoci.
3. Waga 1 litra.
4. Ładunek zalecany, wypośrodkowany dla poszczególnych kalibrów.
5. Szybkość początkowa śrutu.
6. Ciśnienie maksymalne itp.

Dla przeciętnego myśliwego, elaborującego samodzielnie naboje, najważniejszą rzeczą jest stosowanie zalecanego ładunku, którego należy się trzymać, gdyż jest on ustalony na zasadzie szeregu prób i pomiarów, gwarantujących bezpieczeństwo i skuteczność działania.

Należy zaznaczyć, że prochy bezdymne są wrażliwe na zwilgotnienie przesuszenie. Przeto proch musi być przechowywany w naczyniach hermetycznych, a gotowe ładunki w suchym, lecz nie gorącym miejscu.

A teraz rozważmy, w świetle poznanych właściwości prochów, możliwości stosowania różnych ich gatunków, pochodzących z rozbrojenia amunicji wojennej.

Przede wszystkim należy usunąć te z nich, które są wręcz niebezpieczne dla całości broni. Do nich należą prawie wszystkie prochy do amunicji ślepej (ćwiczebnej). Żeby nie być gołosłownym, przytoczę wyniki prób, przeprowadzonych przez znanego balistyka francuskiego gen. Journie (Tir des fusils de chasse. Paris 1920, str. 24 i 26) z prochem do amunicji ślepej typu francuskiego EF. Dla nadania wymaganej prędkości początkowej Vo = 375/sek. dla ładunku śrutu 36 g w kalibrze 12, należy stosować 1,8 g tego prochu, co daje ciśnienie 1350 km/cm^2, tj. takie, które może spowodować rozerwanie luf większości używanych obecnie dubeltówek (które są próbowane na ciśnienie około 850 kg/cm^2).

Te same wyniki otrzymałem przed wojną w Boryszewskiej fabryce prochu z naszym prochem ćwiczebnym, który w tych warunkach dawał ciśnienia powyżej 1000 kg/cm^2.

Podobne zastrzeżenia należy podnieść przeciwko niektórym zagranicznym prochom myśliwskim nitroglicerynowym, kiedy przy ładunku łatwo jeszcze mieszczącym się w łusce kalibru 12 otrzymano ciśnienie 1800 kg/cm^2, które może rozerwać najlepszą broń (wg gen. Journie).

Co do prochów do amunicji karabinowej, kulowej, to nie są one niebezpieczne, ale jak już było omówione, dają za słaby efekt strzału i z tego powodu muszą być zdyskwalifikowane To samo odnosi się do prochów armatnich, nawet bardzo drobno pokrajanych.

Należy również być bardzo ostrożnym przy stosowaniu różnych prochów drobnoziarnistych z amunicji pistoletowej i automatowej. Prochy te mają dość dużą gęstość, więc mieści się ich w normalnej łusce myśliwskiej dużo i łatwo można otrzymać tak duże ciśnienie, że broń go nie wytrzyma. Nie mając zaś pod ręką przyrządów, pozwalających oznaczyć ciśnienia dla danego ładunku, bierzemy na siebie wielkie ryzyko: całości broni i własnego zdrowia.

Na zakończenie muszę z całą stanowczością przestrzec przed używaniem ładunków z prochem bezdymnym do dubeltówek starego systemu, przeznaczonych do prochu czarnego, zwłaszcza jeżeli myśliwy sporządza sam ładunki, bez wagi. Niedawno zaszedł wypadek, że taka dubeltówka przy strzale ładunkiem prochu bezdymnego uległa pęknięciu i niefortunny strzelec postradał cztery palce.

Ładunek, który spowodował wypadek, został sfabrykowany własnoręcznie przez właściciela dubeltówki, przy czym proch był odmierzony miarką uprzednio niewyważoną, również śrut był brany na oko.

Dubeltówki, przeznaczone do strzelania prochem bezdymnym, posiadają wybity napis „Nitro" (niemieckie), lub „PV" (bejgijskie). Należy również przestrzec przed używaniem do trójlufek ładunków karabinowych, gdyż doprowadza to często do podobnych wypadków.

Eugeniusz Kniażykowski
inżynier-technolog

Uwaga redakcji:

1 Prochy, których spalanie się jest obliczone przy uwzględnieniu dużego ciśnienia, nie nadają się do broni śrutowej, jako zbyt słabe w działaniu, gdyż w broni śrutowej nie powstaje dostateczn.e duże ciśnienie.

2: Prochy, których spalanie się jest obliczane przy uwzględnieniu małego ciśnienia, mogą nadawać się do broni śrutowej, lecz wielkość ładunku winna być ostrożnie i starannie ustalana.

3 Ładunek prochu może być również brany na miarkę, lecz miarka musi być dokładnie wyważona. Przy dokładnym wyważeniu, wahania wagi normalnego ładunku, branego na miarkę (jednakowym sposobem nasypywaną), nie przekraczają 0,05 g, a więc mogą być nie brane pod uwagę.

JERZY BŁESZYŃSKI

NA DZICZYCH TROPACH...

W pierwszych dniach marca 1938 r. wybrałem się do Sołotwiny Mizuńskiej, do gościnnego zawsze nadleśniczego, inż. Dziuby. Śnieg okrywał góry grubym kożuchem, tylko na południowych zboczach zaczynały ukazywać się ciemne plamy, zwiastujące zbliżającą się wiosnę.

Na przewodnika i towarzysza przydzielono mi gajowego Szneka, doskonałego myśliwego. Nazajutrz, zaraz po godzinie 8, powędrowaliśmy w góry. Pogoda była wspaniała, bezwietrzna, niebo bez chmur błękitniało nad górami i lasami, mroźne rankiem powietrze pobudzało do posuwania się lekkim, szybkim krokiem.

Najpierw zbadaliśmy gąszcz nad nadleśnictwem, gdzie lubiła zatrzymywać się gruba zwierzyna. Śladów

dzików nie znaleźliśmy, a tylko natknęliśmy się na kilka jeleni. Przez chwilę przypatrywaliśmy się wzajemnie, ale bykom wnet sprzykrzyło się zbyt bliskie oglądanie dwunogów, zawróciły i znikły. Nie było tu czego szukać. Zeszliśmy do potoku, przez potok na drugą stronę po wystających z wody głazach i leśną drożyną w górę — ku granicy Mizunia. Po dobrym godzinnym marszu przeprawiliśmy się znów na prawy brzeg potoku i teraz zaczęła się spinaczka po coraz głębszym śniegu i przez coraz gęstsze świerkowe podszycie. Wydostaliśmy się na trochę mniej zarośnięte zbocze i zaraz pod bukami zoczyliśmy ślady niedawnej uczty trzech grubych dzików. Właśnie tego szukaliśmy. Tropy dzicze najpierw ściągnęły nas z powrotem nad potok — oby im tego św. Hubert nie pamiętał! — aby zaraz poprowadzić nas popod stromiznę, pokrytą głębokim śniegiem.

kojnie kierowały się ku gęstemu młodnikowi pod przełęczą. Dziki cały czas szły przed nami, a tylko chwilę przystanęły, właśnie wtedy, gdy ich woń zaleciała.

Spojrzeliśmy po sobie: Ano! Co robić? Pójdziemy dalej, zobaczymy, gdzie pójdą, a nuż ukażą się na daleki strzał sztucera. Zdawało się, że nie były zbytnio spłoszone. Teoretycznie warunki odpowiadały możliwości spotkania, gdyż miejscami widać było szerokie przeciwległe zbocze, ku któremu dziki szły. Uf! Uf! Wydrapaliśmy się na samą przełęcz — licho nas tam poniosło—śnieg miejscami sięgał powyżej pasa. A dziki lekko sforsowały głęboki śnieg i poszły spać w młodniki na mizuńską stronę. Tam były dla nas stracone.

Podumaliśmy chwilę nad zmiennościami losu i zdecydowali odwrót. Dla skrócenia drogi przechodziliśmy przez szczyt porosły wysokim lasem. Ślicznie tu było: rozległy widok na połoninę, na przełęcz zalaną popo-



Objazd ostępu *rys. S. Rozwadowski*

Słońce przygrzewało coraz silniej. Ściągnąłem gruby sweter, a tylko w wełnianej koszuli i wiatrówce piąłem się dalej, pocąc i sapiąc jak lokomotywa. Od połowy zbocza znów zaczęły się świerkowe gąszcza. Wysokie drzewa przysłoniły słońce, powiało mroźnym chłodem. Trzeba się było szybko przeprosić z pogardzonym dopiero co swetrem. Odpoczęliśmy chwilę, spoglądając z zadumą na ginące w gąszczu tropy. Ciężkie zadanie czekało nas i nadzieja dojścia do dzików wśród tego gąszczu po głębokim śniegu była niewielka.

Odsapnąwszy nieco daliśmy nurka w gąszcz. Prawie dosłownie nurka, bo trzeba było na czworakach przepychać się w śniegu pod świerkami. Innej drogi nie było. Leźliśmy pomału, jak najciszej, aby zbytecznym łamaniem gałązek i sapaniem nie spłoszyć ostrożnej zwierzyny.

Już 20 minut, a może dłużej przedzieraliśmy się za tropem, gdy nagle poczuliśmy dziki; musiały być tuż nad nami. Mieliśmy pełne nosy zapachu dziczego, jeśli to zapachem można nazwać. Zatrzymaliśmy się, przycupnęliśmy w śniegu i gorączkowo wypatrywaliśmy czy gdzie pod świerkiem nie czernieje dzicza postać. Na próżno — nic nie dostrzegliśmy, świerki stały nieruchomo, żaden szmer nie przerywał leśnej ciszy. Woń dzicza rozpłynęła się w powietrzu; teraz nic nie czuliśmy. Czyżby dziki ruszyły?

Powoli, metr po metrze, znów posuwaliśmy się, przeciskając się w coraz głębszym śniegu. Niestety, barłogu nigdzie nie było, dziki przystanęły widocznie tylko przed nami — tropy w pewnym miejscu wskazywały przyspieszenie — potem znów zwolniły i spo-

łudniowym słońcem, na młodnik pod nią i wspaniały mieszany las nad przełęczą. Słońce przygrzewało. a wielka kłoda zapraszała do odpoczynku. Przysiedliśmy więc, aby też przekąsić, co po 5-godzinnym marszu słusznie się nam należało. Milcząc, siedzieliśmy kilkanaście minut. Trzeba było wracać.

Ledwo zrobiliśmy kilka kroków, natknęliśmy się na świeżutkie tropy dużego dzika. Przecież przed kilkunastu minutami żadnego śladu tu nie było. Zbadaliśmy tropy. Okazało się, że dzik podszedł z tyłu na kilka kroków, odskoczył jak oparzony, gdy nas zwietrzył, dał kilka susów i spokojnie powędrował popod ubocz. Przyjdziemy tu jutro po ciebie. Przecież musisz gdzieś zalec, wiecznie nie będziesz się włóczył po szczytach i potokach. — A jednak powłóczył on nas nazajutrz niemało. Wyszliśmy o 9 z nadleśnictwa, pomaszerowaliśmy, jak wczoraj, godzinę w górę potoku, potem godzinę po wczorajszych własnych śladach pod szczyt i dopiero zaczął się taniec. Pojedynek szukał żeru, a to nie było łatwym zadaniem odkopywać bukiew i inne pożywienie spod głębokiego śniegu. A więc najpierw zeszedł w potok, potem znów pod szczyt w buczynę, znów przez drugi potok i znów pod górę. — A żeby cię pokręciło! Już dwie godziny nas włóczysz i jeszcze żaden znak nie wskazuje, gdzie zamierzasz w barłogu spocząć. Wreszcie starszy pan powziął chwalebny zamiar posuwania się ścieżką wzdłuż uboczy. Wielki to był czas, gdyż pomimo niezłej zaprawy w górskiej włóczędze, miałem już dość. Posuwamy się zatem płajem, a Sznek szepcze: — Już wiem, gdzie idzie; wracamy ku nadleśnictwu, tam na wpół uboczy

są barłogi. Albo będzie leżał w wiatrołomach, albo pod zwaloną wielką jodłą. Już go tam dostaniemy.

Wtem w potoku, co stromo zbiegał uboczą i przecinał ścieżkę, tuż przed nami zamajaczyły czarne cienie — trzy warchlaki żerowały i teraz pospiesznie zmykały do góry. Porwałem z ramienia sztucer i dalejże strzelać. Strzały były łatwe — ale dla wypoczętego — wystrzelałem prawie cały magazyn, a wynik: jeden warchlak ubity, a drugi ze złamaną nogą zniknął za wykrotem. Trzeciego ubił Sznek. Co prawda to nie będę przysięgał czy tego pierwszego też Sznek nie zabił, bo chociaż przewrócił się po moim strzale — licho wie czy Sznek razem ze mną nie strzelił. Ale to było mniej ważne, ważniejsze, że mieliśmy dwa dziki na rozkładzie. Ściągnęliśmy je na ścieżkę i powędrowali dalej za tropem odyńca. Rannego warchlaka Sznek dobił następnego dnia. Jeszcze pół godziny względnie spokojnej drogi, bo wciąż ścieżką i Sznek wskazuje na wielki wiatrołom poniżej, ku któremu rzeczywiście skierował dzik swoje kroki. Pozostałem na miejscu wejściowym, a Sznek obszedł zwalisko świerków naokoło i zwolna przeglądał jeden wykrot po drugim. „Nie ma go tu, będzie pod złamaną jodłą poniżej".

Zwolna, krok za krokiem, posuwamy się nad brzeg pochyłości. Znaleźliśmy się prawie na otwartym miejscu, gdy pod nami, na jakie kroków 100, ukazała się czarna plama, leżąca w głębokim barłogu pod złamaną wichrem wielką jodłą. Co tu robić? Posuwać się dalej jest wielkim ryzykiem, gdyż każde teraz nasze poruszenie dzik może dostrzec, a jeden skok — i już o strzale mowy nie będzie. Na domiar złego mam dzika między rozwidleniem dwóch świerków, z góry na dół, strzał niewygodny, ale trzeba się decydować. Muszka mi skacze, sześciogodzinny marsz robi swoje: buch! A dzik jak oparzony wyskoczył spod jodły. Tfu! Ale repetuję i posyłam jeszcze jedną kulę za ginącym w gąszczu dzikiem. Poszedł! Tfu! Tfu! Obie kule ścięły mu tylko trochę piór; pierwszą zgórowałem od 2 do 3 centymetrów, druga otarła się o bok dzika. — A no! Mówi się — trudno.

Dzik został w lesie, a mnie piękne wspomnienie dwóch dni, spędzonych w górskiej, wspaniałej kniei.

Jerzy Błeszyński

JANUSZ PATALONG

PO SEZONIE POLOWAŃ NA ZAJĄCE

(Artykuł dyskusyjny)

Z ulgą chyba i dużym zadowoleniem przywitało dużo myśliwych zakończenie okresu polowań na zające. Jedni odsapnęli po trudach ciągłych wyjazdów na „naganki", inni (bodaj czy nie w mniejszości) ucieszyli się, że biedne zajączki doczekały się nareszcie spokoju.

Tegoroczny okres polowań był nadzwyczaj bogaty, zarówno w wynikach, jak i pod względem materiału do rozważań łowieckich. Owocem takich właśnie rozważań i obserwacji są niniejsze uwagi.

Problem zajęczych polowań można rozpatrywać z dwóch punktów widzenia: myśliwego i terenu. Myśliwy czy „strzelec" — oto zagadnienie tak stare, jak samo łowiectwo. W dotychczasowej, powojennej pracy organizacyjnej i wychowawczej Polskiego Związku Łowieckiego doprowadziliśmy — jak nam się zdawało — do tego, że przygniatająca większość polujących stała się myśliwymi, że „strzelców", inaczej też, choć bardziej drastycznie zwanych „rzeźnikami", stale ubywa. Po doświadczeniach ostatnich miesięcy zimowych wydaje się, że przekonanie nasze było, niestety, złudne. „Strzelectwa" bynajmniej nie wypleniliśmy; przeciwnie, w tym roku wzrosło ono do nieprawdopodobnych, zastraszających wprost rozmiarów. Tego, co działo się na niektórych polowaniach, niesposób opisać; to trzeba było przeżyć samemu, ryzykując nawet oberwanie śrutem. Nie wiadomo, co było powodem: czy stosunkowo bardzo dobry stan zajęcy, czy zakaz „pomyka", czy zapewniony zbyt ubitej zwierzyny przez „Jedność Łowiecką", czy jeszcze co innego — ale fakt faktem, że nie tylko młodzi, świeżo przeegzaminowani członkowie PZŁ (ci może zresztą najmniej), ale i starzy, doświadczeni myśliwi karygodnie wprost grzeszyli na polowaniach przeciw etyce łowieckiej i przeciw elementarnym zasadom zbiorowego bezpieczeństwa.

Takie „drobiazgi", jak: strzelanie do zająca w kotlinie, do kotła po wejściu weń naganki, po linii myśliwych, gonienie samemu rannego zająca w kotle, niewyładowywanie broni po miocie, ustawiczne kłótnie i spory pod hasłem „to mój zając", były — niestety — zjawiskiem codziennym. U jednych przeważała chęć ubicia wszelkimi sposobami jak największej ilości szaraków dla mięsa czy pieniędzy, u innych znowu główną rolę grała nie zawsze zdrowa ambicja zdobycia „królestwa". A rezultat: niesmak po każdym takim polowaniu, na którego rozkładzie bywały nie tylko ubite zające, ale i ranni naganiacze czy myśliwi. A ile szaraków uchodziło rannych i marnowało się po polach? I jeszcze jedno: był zakaz polowania na pomyka, a obok tego zarządzenie, przewidujące co najmniej dwóch naganiaczy na 1 myśliwego przy polowaniach w kotły. Praktyczne wykonanie obu zarządzeń stało pod wielkim znakiem zapytania. Zwłaszcza z naganiaczami bywało źle czy raczej z myśliwymi. Bo i takie zdarzały się w ubiegłym sezonie „polowania", na których naganiaczy było 20, ale za to myśliwych 40 i 50.

Faktem jest, i to faktem smutnym, że wielu myśliwych nie zdało zupełnie praktycznego egzaminu z etyki łowieckiej. Faktem jest dalej, że duża część winy spada na organy wykonawcze PZŁ w terenie (łowczy i podłowczy powiatowy), które, po pierwsze, zbyt rzadkiej sieci użyły przy selekcji kandydatów do Związku, a po drugie nie zdołały opanować sytuacji w czasie samych polowań. W szczególnie jaskrawych wypadkach należało stosować ostre kary, począwszy od wysokich grzywien i wykluczenia z danego polowania, a na wnioskach do wojewódzkiego sądu łowieckiego o zawieszenie w prawach członkowskich — kończąc.

Sytuacja jest nie wesoła. Walne zebrania powiatowe PZŁ winny omówić ją szczegółowo i wyczerpująco poddać krytyce postępowanie swych władz i członków, i wyciągnąć odpowiednie wnioski. Rzez zajęcy w rozmiarach i metodach z sezonu 1948/49 r.

nie może się powtórzyć, zwłaszcza zaś rzeź premiowana, jak to miało miejsce w jednym z powiatów pomorskich, gdzie nagrodzono „najlepszego“ myśliwego za zabicie ponad 360 szaraków.

A teraz problem terenu łowieckiego. W większości wypadków tereny, zwłaszcza tzw. gromadzkie czyli polne, należą do indywidualnych dzierżawców. Rzadko kiedy dzierżawią je kółka czy stowarzyszenia łowieckie. Rezultatem jest naturalnie brak jakiejkolwiek gospodarki na łowisku. Dzierżawca, często przypadkowy myśliwy (wstąpił do PZŁ, bo gromada uchwaliła wypuścić polowanie tylko „swojemu“), dąży do jednego: wybić jak najprędzej opłaconą tenutę dzierżawną, a — jeśli się da — to i zarobić na polowaniu. Giną więc masowo biedny szarak i kuropatwa (jak łatwo się łapie zimą na śniegu!), kaczka i nierzadko przechodnia sarna. Byle więcej mięsa!

A jeżeli nawet się zdarza, że taki dzierzawca nie posiada pozwolenia na broń myśliwską (i nie prędko się go spodziewa), to i tak zwierzynę wybija. Zaprasza wtedy grono „strzelców“, organizuje dla nich polowanie, każe bić co podejdzie pod lufę, obdarowuje na zakończenie jednym zajączkiem, częstuje kapuśniakiem czy bigosem i wódką (tej ostatniej obowiązkowo dużo!) — i sprawa załatwiona. Myśliwi się nastrzelali, najedli, napili, a pan dzierżawca zebrał bez trudu pokaźną ilość zajęcy na sprzedaż. To, że za rok może być na takim łowisku pustynia, jest nieważne. Kto wie, co za rok będzie?

Rzeź była więc przewodnim motywem większości polowań na terenach gromadzkich. Cóż zresztą dziwnego, jeżeli nawet państwowe nieruchomości ziemskie, urządzając na zagospodarowanych przez siebie majątkach polowania administracyjne, określiły je w urzędowym okólniku jako „żniwa łowieckie“.

Zagadnienie terenu łowieckiego i jego dzierżawcy ma zresztą jeszcze i inny, głębszy aspekt. Przemiany społeczne, których świadkami i współtwórcami jesteśmy właśnie my, i które dotarły do szeregów PZŁ, muszą przeorać problem dzierżawy łowiska. Niezależnie od nowej ustawy łowieckiej, której pojawienia się oczekujemy z niecierpliwością, należy już dziś uprzytomnić sobie, że indywidualny dzierżawca terenu łowieckiego — to przeżytek, a postępowanie takiego dzierżawcy w stosunku do myśliwych — to bardzo często jeszcze jedna, nowa forma wyzysku kapitalistycznego. Tereny łowieckie wspólne (gromadzkie) mogą być tylko wówczas racjonalnie zagospodarowane, jeżeli dzierżawić je będą pewnego rodzaju kolektywy myśliwskie — obojętnie czy będą to zorganizowane kółka i stowarzyszenia, czy też luźne zespoły zżytych z sobą i zgranych myśliwych. Obie koncepcje zdały już z doskonałym wynikiem egzamin w wielu powiatach.

I jeszcze jedno: nie ma najmniejszego sensu, by dzierżawił teren łowiecki myśliwy, który nie posiada i z wielu względów niewiele ma nadziei na posiadanie broni. Dorywcze opolowywanie takiego terenu przez przypadkowo ściąganych myśliwych, nie daje żadnego pożytku a kółkom i stowarzyszeniom uniemożliwia dzierżawę i racjonalną gospodarkę łowiska. W tej materii głos muszą zabrać władze administracyjne i uniemożliwić spekulację terenami.

Jeżeli do wymienionych w niniejszym artykule postulatów dojdzie jeszcze radykalne oczyszczenie szeregów PZŁ z elementów przypadkowych, kłusowniczych, to możemy liczyć na to, że w przyszłym sezonie przestanie nas (oby już na zawsze.)dręczyć zmora „strzelców“, a polować będziemy jedynie z myśliwymi i wśród myśliwych. **Janusz Patalong**



Przedwiośnie *fot. W. Puchalski*

PIĘKNE POLOWANIE

W dniu 8 i 9 stycznia 1949 r. w województwie poznańskim, w majątkach PZChK Gogolewo i Posedowo, odbyło się polowanie, na którym padło 480 zajęcy i lis. Polowanie zaszczycili swoją obecnością Marszałek Polski, M. Rola-Żymierski i Ambasador CSR, F. Pisek.

Królem polowania był Marszałek, mając na rozkładzie 57 zajęcy. Generał Więckowski miał oryginalne myśliwskie spotkanie, zabijając czarnego zająca, bardzo rzadki okaz melanizmu u zajęcy.

JERZY OŚWIECIMSKI

O należyty stosunek Stowarzyszeń Łowieckich do Polskiego Związku Łowieckiego

Doświadczenie pracy terenowej w Polskim Związku Łowieckim, chęć zupełnego powiązania organizacyjnego poszczególnych komórek Związku ze sobą i, co ważniejsze, członków Związku z tymi komórkami — nasuwa szereg uwag i wniosków, które rzucając na papier pragnąłbym, by znalazły oddźwięk wśród ogółu Kolegów, a w każdym razie wśród tych wszystkich, którzy zetknęli się z pracą organizacyjno-łowiecką. Poddając pod osąd publiczny swoje poglądy chciałbym, by z dyskusji wyłoniły się przesłanki tak dla pracujących czynnie w Związku, jak i dla tych, co pracy tej będą zakreślać ramy w formie statutu czy nawet ustawy łowieckiej.

Uważam, że pierwszy okres pracy Polskiego Związku Łowieckiego, który nazwałbym okresem samozorganizowania się, już minął. Wszak już w 1947 roku mieliśmy zorganizowaną sieć władz Związku od Rady Naczelnej aż do łowczego powiatowego. Wiemy, że komórka powiatowa, tj. rada powiatowa, łowczy i podłowczowie powiatowi, nie jest zawsze na wysokości zadania. Jeśli chodzi o intensywność pracy, to już inne zagadnienie, które znajdzie zapewne swoje właściwe rozwiązanie. Obecny, drugi z kolei okres pracy Związku, to sięgnięcie do tej przeszło 30-tysięcznej rzeszy członków i praca nad podniesieniem stanu etycznego łowiectwa, a przede wszystkim praca nad zorganizowaniem gospodarki łowieckiej, nad pomnożeniem naszego bogactwa narodowego, jakim jest zwierzyna łowna, co w rezultacie winno dawać rosnące z roku na rok korzyści w gospodarce narodowej.

Jakimi torami winna pójść praca obecnego okresu?

Polski Związek Łowiecki jest związkiem osób fizycznych i stowarzyszeń, gdy zważymy jednak, że w obecnych warunkach osoby fizyczne uprawiają myślistwo i prowadzą, względnie mogą prowadzić gospodarkę łowiecką prawie wyłącznie za pośrednictwem stowarzyszeń łowieckich, to wypłynie stąd wniosek że podstawowym podmiotem pracy Związku winno być stowarzyszenie łowieckie, zaś przedmiotem pracy stowarzyszenia winien być obwód łowiecki i człowiek-członek stowarzyszenia. W takiej koncepcji stowarzyszenie jest komórką podstawową i zasadniczą wszelkiej pracy, jest tą cegłą, z której buduje się gmach.

I, niestety, bo tu leży sedno zagadnienia i źródło moich trosk, łączność stowarzyszeń łowieckich z Polskim Związkiem Łowieckim i możność oddziaływania władz Polskiego Związku Łowieckiego na stowarzyszenia jest niedostateczna.

Statutowo rady wojewódzkie Polskiego Związku Łowieckiego mają prawo kontroli stowarzyszeń łowieckich. Rzecz jasna, że w praktyce musi to robić za pośrednictwem łowczych powiatowych. I to jest bodaj jedyny atrybut władzy Związku w stosunku do stowarzyszeń.

A poza tym?

Narodziny stowarzyszenia łowieckiego odbywają się bez współudziału Polskiego Związku Łowieckiego. Grono myśliwych składa statut i wniosek do wojewody i ten, na podstawie prawa o stowarzyszeniach, zatwierdza lub nie zatwierdza stowarzyszenia.

W tym miejscu należy podkreślić zrozumienie, z jakim powyższe zatwierdzanie stowarzyszeń odbywa się w niektórych województwach i miastach wydzielonych. Władze administracyjne, decydując o zatwierdzeniu stowarzyszenia, zupełnie słusznie stanęły na stanowisku, że nie wystarczy sprawdzenie wymogów czysto formalnych, lecz należy odpowiedzieć na pytanie czy celowe jest powstanie danego stowarzyszenia łowieckiego i nie samym odpowiadać na to pytanie, lecz zwrócić się do czynnika w tej mierze kompetentnego, a mianowicie do rady wojewódzkiej Polskiego Związku Łowieckiego.

To słuszne ujęcie sprawy, zrodzone przez samo życie i urzeczywistniane, mówiąc językiem potocznym „z dobrej i nieprzymuszonej woli“, winno stać się prawem. Opinia Polskiego Związku Łowieckiego przy powstawaniu stowarzyszenia łowieckiego zwiąże od razu to stowarzyszenie ze Związkiem co najmniej więzami ewidencji.

Dalszy etap. Powstałe, za czy bez wiedzy Polskiego Związku Łowieckiego, stowarzyszenie łowieckie puka do rady wojewódzkiej o zaświadczenia w celu otrzymania pozwoleń na broń dla swych członków. Rada wojewódzka winna wówczas stowarzyszenie wciągnąć do ewidencji, sprawdziwszy proporcję ilosci członków do obszaru terenów łowieckich i, jeśli wszystko jest według przepisów prawa łowieckiego, nie może odmówić zaświadczenia.

Następny etap. Członkowie otrzymali pozwolenia na broń, stowarzyszenie rozrasta się, dzierżawi tereny bez mała że w całym kraju, od Nysy do Bugu i od Karpat po Bałtyk, a już najskromniej w kilku powiatach. Ale jakie to są tereny, co na nich jest i co się robi — jest tajemnicą stowarzyszenia, gdyż nikt nie raczy Polski Związek Łowiecki powiadomić o tym, złożyć jakieś sprawozdanie czy ankietę. Jeszcze na prowincji to łowczy powiatowy ma potrzebne dane o miejscowym kółku, ale jeżeli jakiś teren w powiecie wydzierżawi kółko z miasta lub z innego powiatu, to i ze świecą go nie znajdziesz.

Sądzę, że każda rada wojewódzka zmarnowała na monity, wezwania itp. w tej sprawie dużo czasu i papieru, a rezultat na pewno jest minimalny. A jakkolwiek sprytniejsi twierdzą, że różne życiowe sposoby na oporne stowarzyszenia mogą się znaleźć, to jednak ze stanowiska formalno-prawnego, egzekutywa Polskiego Związku Łowieckiego, w stosunku do stowarzyszeń łowieckich, jest znikoma. Zawiesić? Rozwiązać?— to jest uprawnieniem władzy administracji państwowej.

Uważam, że istniejący stan rzeczy winien być zmieniony, a mianowicie:

1. Jak wyżej rzekłem, powstanie stowarzyszenia łowieckiego winno być poparte pozytywną opinią Polskiego Związku Łowieckiego. Polski Związek Łowiecki dąży, by powstało jak najwięcej stowarzyszeń łowieckich, ale zadaniem stowarzyszenia winna być gospodarka łowiecka (obszernie o tym w artykule kol. E. Frankiewicza w Łowcu Polskim nr 10 z 1948 r.). Niedopuszczalne jest natomiast zrzeszenie się osób tylko

w celu otrzymania pozwoleń na broń lub zalegalizowania kłusownictwa.

2. Polski Związek Łowiecki musi mieć wgląd w działalność stowarzyszenia. Tym wglądającym winien być łowczy powiatowy. Sprawa o tyle prosta, gdy siedziba i teren stowarzyszenia mieści się w jednym powiecie. Gdy natomiast stowarzyszenie dzierżawi tereny w kilku powiatach, każdy łowczy powiatowy interesuje się stowarzyszeniem w związku z terenem, jaki ono w jego powiecie dzierżawi i wyniki swoje przekazuje radzie wojewódzkiej. Ta z raportów kilku łowczych powiatowych tworzy całość — pogląd na działalność i gospodarkę łowiecką stowarzyszenia.

Jeszcze bardziej komplikuje się sprawa jeśli działalność stowarzyszenia nie mieści się w ramach jednego województwa. Tu, niestety, nie można władz centralnych Polskiego Związku Łowieckiego obarczać funkcją kontroli indywidualnej stowarzyszeń, toteż jedynym wyjściem z sytuacji jest powierzenie tego radzie wojewódzkiej, na której terenie stowarzyszenie ma siedzibę, z tym, że inne rady wojewódzkie i ich łowczowie powiatowi nawiążą z nią współpracę.

Koniecznym warunkiem i jedynym sposobem owego terenowego podporządkowania stowarzyszeń władzom Polskiego Związku Łowieckiego jest, by każda umowa dzierżawna terenów łowieckich była pod rygorem nieważności zatwierdzana przez starostę po zasięgnięciu opinii łowczego powiatowego, zaś jeśli chodzi o lasy państwowe, by odpis umowy dzierżawnej otrzymywał łowczy powiatowy. Tylko takie ujęcie sprawy umożliwi łowczemu powiatowemu należytą gospodarkę łowiecką w powiecie i współpracę ze wszystkimi stowarzyszeniami łowieckimi.

Współpraca ta, to właściwie prowadzenie przez stowarzyszenie gospodarki łowieckiej i raportowanie łowczemu o jej przebiegu, jej plonach, wspólne zwalczanie kłusownictwa i wnykarstwa.

3. Inną jest rzeczą współpraca łowczego powiatowego ze stowarzyszeniem, jeżeli chodzi o czynności administracyjne, pobór składek, przekazywanie zarządzeń, propaganda, egzaminy itp. Te wszystkie funkcje, które dotąd były może częściowo na barkach rady wojewódzkiej, winny przejść na łowczych powiatowych. I tu, oczywiście, właściwe jest nie kryterium terenu, lecz siedziby stowarzyszenia, czyli że stowarzyszenie współpracuje z tym łowczym, w którego powiecie ma swą siedzibę.

4. Kontrola i współpraca tylko wtedy może mieć realne widoki, gdy organ kontrolujący będzie miał pewien zakres egzekutywy w stosunku do kontrolowanych. Zaryzykowałbym tezę, że rada wojewódzka Polskiego Związku Łowieckiego winna mieć prawo składania wniosku do wojewody o zawieszenie i rozwiązanie stowarzyszenia.

Reasumując wyżej przytoczone postulaty, pragnąłbym bliższego związania, zespolenia stowarzyszeń z Polskim Związkiem Łowieckim, bowiem stowarzyszenie uważam za podstawową komórkę Związku. Związania tego nie pojmuję aż tak daleko, by na stowarzyszenia nakładać jakiś kaganiec, ale uważm, że nie może być stowarzyszeń chodzących luzem, o których nie tylko działalności, ale i istnieniu mało kto wie.

Współpraca, pojęta nie jako zło konieczne, lecz jako wspólny wysiłek, wyjdzie na pewno na dobro łowiectwu polskiemu i gospodarce narodowej.

Jerzy Oświecimski.

STEFAN KRZYWOSZEWSKI

NA NIWIE NASZEJ LITERATURY ŁOWIECKIEJ

1) Zbigniew Kowalski „Dziennik Myśliwski" 1947 r. Nakład Polskiego Związku Łowieckiego.

2) Aleksander Danilczuk: „Nad wodami Sujfunu" i „W Ussuryjskiej Tajdze" (opracował do druku Zbigniew Kowalski) 1948 r. Nakład Spółdzielni „Las".

W dziedzinie wszechświatowej literatury łowieckiej Polska niewątpliwie zajmuje jedno z przedniejszych miejsc. W dziełach największych naszych poetów i prozaików znajdujemy opisy polowań, jakimi może żadna inna literatura nie może się poszczycić. Posiadamy jednocześnie plejadę znakomitych myśliwych, którzy równie celnie władali bronią jak piórem.

Literatura odtwarza nurty życia, uczuć i obyczajów swego narodu. Łowiectwo tak głęboko wsiąkło w psychikę polską, że musiało znaleźć swój odzew w piśmiennictwie i sztuce. Ulubionym tematem najświetniejszych naszych malarzy były łowy.

Wskutek tego i poziom naszych czasopism łowieckich, jeśli pod względem technicznym nie zawsze mógł sprostać zasobniejszym ilustracjom zachodnim, treścią i ruchliwością zwykle nad nimi górował.

Można śmiało rzec, że łowiectwo polskie szczyci się nie tylko pięknymi osiągnięciami i trofeami, nie tylko bogatą różnorodnością terenów i zwierzyny, ale i swoją własną, subiektywną kulturą łowiecką. Dlatego zapewne każda nowa książka, czerpiąca treść z przeżyć myśliwskich, wzbogacająca swą wartością nasze piśmiennictwo łowieckie, jest pożądanym nabytkiem.

Zbigniew Kowalski, myśliwy w pełni sił i animuszu, bardzo czynny członek redakcji „Łowca Polskiego", nie tylko na rżyskach i w kartofliskach robi dublety. Na niwie literatury łowieckiej, jako debiutant, uciął w tym roku trypleta. Trzy nowe książki z jego nazwiskiem ukazały się niemal jednocześnie.

Pierwsza, zaledwie o kilka miesięcy starsza, to jego pokaźny „Dziennik Myśliwski", do którego zwięzłą i mądrą przedmowę napisał inż. Herman Knothe, myśliwy zasłużony, przewodniczący Kapituły Odznaczeń Polskiego Związku Łowieckiego. Dwie inne książki

należy zaliczyć do tajemnej egzotyki północno-azjatyckiej: „Nad wodami Sujfunu“ oraz „W Ussuryjskiej Tajdze“. Obie opracowane są przez Zbigniewa Kowalskiego na podstawie luźnych i zdekompletowanych notatek, pozostałych po Aleksandrze Danilczuku, poruczniku kawalerii rosyjskiej z czasów caratu. Ów przez szereg lat pełnił służbę w pułku, stacjonującym na północno-wschodnich rubieżach azjatyckich, hen, na pograniczu Korei.

„Dziennik Myśliwski“ Zbigniewa Kowalskiego, to raptularz jego osobistych, najbardziej ważkich przeżyć łowieckich, od „pierwszego zająca“ (1918 r.) do wypraw w knieje mazurskie na rykowiska jeleni (1945 r.).



Myśliwy będzie czytał owe relacje z tą samą przyjemnością, z jaką, po udatnym polowaniu, a przy filiżance czarnej kawy, wspartej kieliszkiem odstałej nalewki — słucha zwierzeń i anegdot, opowiadanych przez towarzyszów — myśliwych. Na takich konwentyklach wypowiada się ochoczy ferwor myśliwski, pogodny humor lub żałosne utyskiwanie, zależnie od wyników całodziennego trudu i zmagań.

...Pozostał mi w pamięci jeden taki wieczór, po polowaniu w Sokolnikach pod Ozorkowem, u Aleksandra Rostockiego, w którym — między innymi — udział wzięli Henryk Sienkiewicz i ksiądz Zygmunt Chełmicki, późniejszy podkanclerzy podczas Regencji.

Sienkiewicz w liczniejszym towarzystwie bywał milkliwy. Więcej się uśmiechał niż mówił. Ks. Chełmicki i Władysław Rabski jęli rozpytywać wielkiego pisarza o jego polowania w Afryce. Rozgrzany serdeczną atmosferą, Sienkiewicz dał się pociągnąć wspomnieniom. Urwały się hałaśliwe rozmowy, nastała cisza jak makiem posiał. Zamieniliśmy się w słuch, dosłownie urzeczeni.

Przed naszymi oczyma przesuwały się podzwrotnikowe, niepokojące obrazy dżungli sudańskiej, przeżywaliśmy wraz z narratorem jego wzruszenia — artysty i myśliwego. Napróżno gderliwy zegar wydzwaniał późne godziny. Sienkiewicz rozgadał się, my zapomnieliśmy o pełnych kieliszkach. Aż w końcu sam instygator, ks. Chełmicki, przeraził się. Przypomniał delikatnie przyjacielowi, że dawno już minął czas na spoczynek...

„Dziennik Myśliwski“ Zbigniewa Kowalskiego cechują cenne zalety: animusz myśliwski, bezpośredniość wrażeniowa, prostota narracji, szczerość. Posiadł biegle naszą bogatą gwarę łowiecką, posiłkuje się nią pomiernie. Unika sztucznej wymyślności słowa, nie lęka się mocnych określeń i wyrażeń. Nazywa rzeczy po imieniu. Jego prozie przydało by się tylko nieco więcej zwartości.

Notatki, stanowiące materiał do książek „Na wodach Sujfunu“ i „W Ussuryjskiej Tajdze“, dotarły do Spółdzielni „Las“ w stanie mocno kaducznym: brakowało sporo kartek, niemało było podniszczonych.

Polszczyzna Danilczuka, który wiele lat spędził w obcym środowisku, pozostawiała wiele do życzenia. Ale w butnym oficerze carskiej kawalerii tkwił niewątpliwy, samorodny talent opowiadawczy, a jego rękopis znalazł w Kowalskim rozmiłowanego w literaturze łowieckiej interpretatora. I jego to, interpretatora, zasługą jest, że owe wartości wydobył i ujawnił.

Może Danilczuk w pułkowej bibliotece, jeśli taka istniała, wczytywał się w arcydzielne „Zapiski Ochotnika“ Turgeniewa...

To, co z luźnych notatek kawalerzysty dokonał Zbigniew Kowalski, pozwala mniemać, że zabłąkany na daleką północ oficer-polak, ochoczy do szabli, szklanki i kochanki, a i karciętami nie gardzący, nie był jednak wcale pospolitym pustakiem.

Na dowód niech posłuży parę zdań, z tych opowieści wyrwanych: ...„Mgły wokół zbielały. Jak tylko oko sięgało — nad łąkami, trzęsawiskami, bajorami i wodami wolno posuwała się skłębiona masa oparów. Pociągał południowy wiaterek i musnął pobliskie komysze. Przebudzone z nocnej drzemki kiście trzcin odpowiedziały cichymi, radosnymi poszeptami“...

To znów:

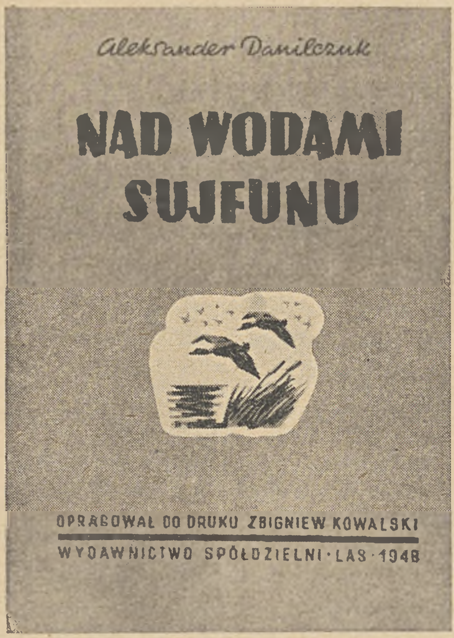
„Na świecie było jeszcze zupełnie widno, tylko krwawe łuny objęły ramionami stronę nieba. Różowa poświata drgała nad zielenią łąk. Leciutkie podmuchy z południa niosły ostrą, orzeźwiającą woń jeszcze kwitnącej mięty wodnej, słodkawy zapach więdnących już tataraków“...

Czy te pastelowe krajobrazy, odtwarzające w słowach posępny czar daleko-północnej przyrody, nie świadczą o wnikliwej wrażliwości i subtelnym rozumieniu jej piękna? Niekażdy wprawny wierszopis bywa uduchowionym poetą, niekażdy z przyrodzenia poeta potrafi w gładkich rymach wypowiadać swoje tęsknoty i zadumy...

Opowieści, zawarte w tych dwóch tomach, swoją egzotyką drzemiącej od wieków zaśnieżonej tajgi i sięgających do oceanu bezkresnych rozlewów i moczarów, przykują uwagę nie tylko zamiłowanego myśliwego, lecz i zwykłego czytelnika. Bo przeżycia łowieckie wiążą się z przelotną, à la Wojciech Kossak ułańską miłostką, z frywolnym romansikiem jurnego kawalerzysty, z równie młodą a porywistą żoną starego majora czy pułkownika—żarłoka i opoja. W tym garnizonie prawie podbiegunowym piją zresztą wszyscy, bo nielitościwie srogi klimat stwarza potrzebę rozgrzewki; alkoholowa podnieta łagodzi brzemię jednostajności nudy. Niezmierzone przestrzenie leśne tają znów niejedną tragedię. Szukają w nich schronienia potępieńcy płci obojga, którym powiodło się zbiec z okrutnej katorgi sachalińskiej. Zdobytą wol-

ność okupują śmiertelną walką z głodem, chłodem i dzikim zwierzem polarnej strefy. Konflikty ponure, bo na tych krańcach świata walka o życie staje się bodźcem rozstrzygającym.

Osobliwe wrażenie wywołują opowieści „Lunczycha“ i „Średniowiecze“.



Pierwsza, to bardzo streszczone przeżycia młodej kobiety, zamożnej mieszkanki Moskwy, która oskarżona o otrucie męża wskutek szatańskiej intrygi rywalki, mimo obrony znakomitego adwokata Plewako, bezwinnie została zesłana do ciężkich robót na Sachalinie. Uciekła stamtąd do Ussuryjskiej Tajgi i zanim jej szczęśliwsza gwiazda rehabilitacji zaświeciła, musiała wieść półdziki żywot wespół z pierwotnym autochtonem, w nieprzebytych, zasypanych śniegiem gąszczach leśnych.

W drugiej — ofiarą przeznaczenia jest młody wieśniak z gubernii nowogrodzkiej. Do schyłku ubiegłego stulecia wśród tamtejszej ludności wiejskiej utrzymywał się starodawny obyczaj, że ojciec miał równe prawa do młodej żony syna... snochacz! Syn zastał w chałupie ojca, gdy ten gwałcił jego świeżopoślubioną żonę — i zabił go. Sachalinowi przybył nowy katorżnik — ojcobójca. Udało mu się zbiec. Tajga Ussuryjska przytuliła jeszcze jednego włóczęgę.

Tematy dla Dostojewskiego...

Wzrusza dramat młodego niedźwiadka, Miszuty. Danilczuk znalazł go w barłogu zabitej przez się niedźwiedzicy. Miszuta mógł liczyć wtedy zaledwie kilka tygodni. Wychował się w mieszkaniu swego pana i tak się do niego przywiązał jak najtkliwszy spaniel. Zmyślność okazywał niewiarogodną.

Temat dla Jack'a London'a...

Myśliwych niechybnie podniecą perypetie łowów na niedźwiedzie, barsy i tygrysy· te dwa ostatnie odmiana północno - azjatycka — to największe na kuli ziemskiej i najniebezpieczniejsze drapieżniki z rodu kotów. Niedźwiedzi różnego kalibru zabił Danilczuk do diabła. Chełpi się — całkiem słusznie — jednym tygrysem i jednym szczególnie potężnym barsem.

Bajkową, a z punktu widzenia naszych zasad łowieckich — barbarzyńską, była całomiesięczna masakra, podjęta przez Danilczuka z polecenia swojej zwierzchniej władzy, celem zdobycia większych zapasów mięsa.

Odkomenderowano mu oddział żołnierzy, on dobrał sobie przewodników wśród najdoświadczeńszych kłusowników tubylczych. Zagarnięte tereny nieomal dziewicze — dla myśliwych były wprost zaczarowaną Arkadią.

Jelenie chodziły tam w skupiskach, liczących setki sztuk. Danilczuk kładł codziennie dziesiątki byków, jego żołnierze robili niemniejsze spustoszenie, że się prawdopodobnie płcią typu nie krępowali.

Prócz tego zdumiewającą mnogość łosi, wilków, rysiów, niedźwiedzi...

Niemniejsze zajęcie obudzą polowania na ptactwo wodne i błotne podczas wielkich przelotów wiosennych. Dropie i łabędzie w dużych stadach, kaczki w chmarach, które zdawały się zasłaniać niebo, a w tylu pod względem rozmiarów i upierzenia odmianach, o jakich myśliwy europejski nie ma pojęcia.

Na bażanty w tej części świata poluje się przez cały rok okrągły i zawsze nastrzelać się można bez miary.

Dodać jednak należy, dla uspokojenia wezbranych myśliwskich pożądliwości, że owa Arkadia łowiecka od czasu pobytu w niej Aleksandra Danilczuka niechybnie i w niemałym stopniu swe oblicze zmieniła. W prędce ściągnęły tam liczne rzesze tuziemców, nasłanych przez chińskich i japońskich handlarzy skór i futer. Rzecz, zapoczątkowaną przez Danilczuka, kontynuowali pojętni autochtoni, a wyposażeni w broń nowoczesną jęli rozprawiać się z cennymi czworonogami Ussuryjskiej Tajgi, nie krępując się żadnymi względami. Zwierz cofnął się głębiej na północ.

Niedobitków jednak prawdopodobnie pozostało tyle, że myśliwy europejski mógłby się tam jeszcze uraczyć do syta.



A konkluzja?

Myśliwych, którzy zabiorą się do czytania książek Zbigniewa Kowalskiego i Aleksandra Danilczuka czekają chwile przyjemne.

Stefan Krzywoszewski



Z literatury ŁOWIECKIEJ

I.

Pomorski Biuletyn Łowiecki, wydanie Pomorskiej Rady Wojewódzkiej, zeszyt nr 7, Toruń, 1948.

Grudniowy zeszyt Biuletynu przynosi, jak zwykle, szereg ciekawych opracowań. Kol. M. Gabała podaje notatkę o przebywaniu na wybrzeżu Bałtyku orła bielika, o jego trybie życia i ilostanie, nawołując do ochrony orłów morskich, których stan bardzo się zmniejsza. P. Józef Kulas z Chełmna boleje nad spadkiem ilostanu bażantów na Pomorzu i wzywa do roztoczenia nad resztkami tych pięknych ptaków bacznej opieki w postaci zakładania mateczników-rezerwatów, dokarmiania w czasie zimy, odświeżenia krwi i odstrzału nadmiaru kogutów, celem doprowadzenia do normalnego stosunku 1 kogut na 5 kur. Redaktor Jan Goetz wskazuje na nowy kierunek eksploatacji lasów przez wprowadzenie gospodarki bezzrębowej i upatruje w nim pomyślne perspektywy dla łowiectwa, gdyż zarzucenie gospodarki zrębami czystymi, zastąpienie jej pobieraniem drewna tylko posztucznie i ochrona wszystkich podszytów i podrostów, wpłynie dodatnio na podniesienie zdatności karmnej lasu, zapewni zwierzynie lepsze warunki odżywiania i zapobieży wychodzeniu jej w pole. Przy sposobności realizacji nowego systemu gospodarki leśnej, autor uważa, że konieczne jest zwrócenie szczególnej uwagi na wprowadzenie sztuczne podszytów przez wysadzenie takich gatunków, jak: bez koralowy, czeremcha, grab, głóg, jałowiec, jeżyny wierzby, żarnowce itd. Kol. E. Raszke zwraca uwagę na zaniedbanie przez myśliwych Pomorza pożytku, jaki daje posiadanie psa myśliwskiego i wzywa do naśladowania pod tym względem nestora łowiectwa na Pomorzu, dra Łukowicza, niestrudzonego propagatora hodowli psów myśliwskich.

II.

„Biuletyn Powiatowego Towarzystwa Łowieckiego w Bydgoszczy“. Od lutego 1946 r. Powiatowe Towarzystwo Łowieckie w Bydgoszczy rozpoczęło wydawanie Biuletynu, mającego za cel zacieśnienie więzi członków Towarzystwa z zarządem i zobrazowanie działalności i życia organizacyjnego PTŁ. Z biegiem czasu Biuletyn rozszerzył swe ramy i stał się równocześnie organem powiatowej rady łowieckiej. W tym charakterze przetrwał do chwili obecnej.

O wartości łowieckiej i społecznej Biuletynu świadczy treść ostatnich dwóch zeszytów — ostatniego (4) z 1948 r. i pierwszego z br.: uroczyste zebranie Powiatowego Tow. Łowieckiego z okazji 25-lecia PZŁ, przepisy prawidłowego polowania na zające, skup zwierzyny na eksport, ofiarowanie części upolowanych zajęcy na cele społeczne, wezwanie do wpłacenia składek członkowskich PZŁ na 1949 r., przedłużenie zezwoleń na posiadanie broni, sprawozdanie z konkursu strzelania do rzutków w Bydgoszczy, przypomnienie o obowiązku poddania się egzaminom z łowiectwa, wezwanie do nabycia wydawnictwa „Łowiectwo na Pomorzu“ itd.

J. Gieysztor

III.

Otakar Kokes. **„Zajic, jeho život, chov a lov.“** wydała Ceskoslovenska myslivecka Jednota w 1948 r., stron 260, cena egzemplarza w oprawie 125 koron.

Zając, który po kuropatwie jest zwierzyną łowną najczęściej występującą w łowiskach czechosłowackich, doczekał się, po poprzednio wydanych pracach monograficznych Otakara Kokesa („Myslivecka pece o zver“, „Koroptev“), osobnego dzieła, traktującego wyczerpująco i wszechstronnie o wszystkich „rzeczach i sprawach“ zajęczych.

Treść książki rozpada się na rozdziały następujące:

Nieco historii... Zając w malarstwie, pieśni i w literaturze. Rys zoologiczny i biologiczny zająca. Szkody i pożytki. Hodowla i ochrona. Polowanie.

Pewnego rodzaju uzupełnieniem książki o zającu jest osobny, większy rozdział o dzikim króliku.

Praktyczny zmysł naszych pobratymców widoczny jest tutaj chociażby z tego, że małżonka autora, pani Maria Kokesova, sporządziła na końcu dzieła obszerny, blisko trzydziestostronicowy dopisek, zajmujący się obszernym wyłożeniem zasad ekonomicznego spożytkowania w domu i w kuchni zająca czy królika, przyniesionego z pola przez myśliwego.

Tak ujęta i opracowana książka jest prawdziwą encyklopedią o zającu, książką wielce pożyteczną nie tylko zresztą dla amatora combra w śmietanie, ale — i to przede wszystkim — dla miłośnika zwierzyny, dla myśliwego - hodowcy.

Piękna szata graficzna, znakomite rysunki i doskonałe fotografie stanowią godną oprawę zewnętrzną i wspaniałe uzupełnienie tej książki.

Dr Marian Ludziński

Ś. † P.

SZWEJKOWSKI BOLESŁAW

łowczy powiatu Suwałki, województwa białostockiego, zasłużony działacz na polu łowiectwa, zmarł w dn. 19 stycznia 1949 r. w Białymstoku. Cześć Jego pamięci!

Białostocka Wojewódzka Rada Łowiecka

Redaktor — prof. J. Gieysztor Warszawa, ul. Nowy Świat 35, tel. 825-29

Wydawca — Polski Związek Łowiecki

Nr zam. 254. Z. G. P. W. Nr 1 B-71489

Do czytelników »Łowca Polskiego«

Członkowie Polskiego Związku Łowieckiego, którzy opłacili składkę członkowską za 1949 r., otrzymują organ Związku, miesięcznik „Łowiec Polski", bez żadnej dopłaty.

Aby jednak pismo to doszło ich rąk w porę i w komplecie, powinni oni poddać się ściśle rygorom, ustalonym przez władze centralne Związku:

1. Składka członkowska, stanowiąca dla wszystkich kategoryj myśliwych 1200 zł. (słuchacze wyższych uczelni mogą uzyskać 50% zniżki w formie dotacji Wojewódzkiej Komisji Młodzieżowej), powinna być uiszczona **do końca marca 1949 r.**, pod rygorem zawieszenia w prawach członka do końca roku. Nowowstępujący członkowie otrzymują zeszyty pisma od daty wstąpienia.
2. Składkę członkowską należy wpłacać bądź bezpośrednio do kasy odnośnej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, bądź też na jej konto w PKO. Za zgodą Rady Wojewódzkiej można uiszczać składkę za pośrednictwem łowczych powiatowych.
3. **Wykaz nazwisk członków,** którzy składkę wpłacili, **wraz z ich dokładnymi adresami zgrupowanymi podług powiatów,** Wojewódzka Rada Łowiecka przesyła Administracji „Łowca Polskiego" możliwie rychło, nie rzadziej, niż raz na miesiąc, przekazując równocześnie należną część składki na wydawnictwo organu Związku (450 zł.).
4. **O zmianie adresu** członkowie obowiązani są powiadamiać Wojewódzką Radę Łowiecką, wpłacając na pokrycie związanych z tem kosztów po 50 zł.
5. Osoby postronne otrzymują „Łowiec Polski" po wpłaceniu na konto PKO Nr I-1077 kwoty 600 zł. w stosunku rocznym, lub 60 zł. za 1 zeszyt.

REDAKCJA

Dnia 3.IV.1949 r. odbędzie się Walne Zgromadzenie Powiatowej Rady Łowieckiej w Sanoku w lokalu Polskiego Czerwonego Krzyża w Sanoku przy ulicy Daszyńskiego o godzinie 15-ej o czym zawiadamia

Zarząd
Pow. Rady Łowieckiej
Łowczy:
(Dr Domański Stanisław)

SPROSTOWANIE

W zeszycie 1/2 rb. w art. „Wolierowa hodowla bażantów" wkradło się kilka błędów, które niniejszym prostujemy:

na str. 19, szpalta prawa, w wierszu 13 od dołu po wyrazach „z wychowem" dodać należy: „w wolierach młodych, tak, że po paru latach przeszedłem na wychów..."

na str. 21, szpalta prawa, w wierszu 9 od dołu, zamiast przecinka powinna być kropka, a po niej: „Posiadamy jeszcze trochę bażantów..."

W art. „W sprawie wyżła polskeigo" na str. 30, w wierszu 7 od góry po wyrazach: „nawet mniej" dodać należy kropkę, a po niej: „Ucho ku końcowi silnie zwężające się jest niepożądane, lecz mniej..."

Na tej że stronie 30, szpalta prawa, w wierszu 10 od dołu po wyrazie „pożądana" dodać należy: „brązowa, brązowo-szara, dereszowata i w białe łaty — niepożądana..."

Na str. 38 w podpisie pod zdjęciem orła wyraz „Wielik" zmienić należy na „bielik".

BIURO POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Warszawa, Nowy Świat 35, telefon 8-25-29

zawiadamia, iż posiada jeszcze na **składzie niewielkie ilości** egzemplarzy następujących wydawnictw:

BELETRYSTYKA ŁOWIECKA:

Zbigniew Kowalski »Dziennik Myśliwski« . . . cena **500** zł

KSIĄŻKI ŁOWIECKIE FACHOWE:

Prof. Józef Gieysztor »Podstawy łowiectwa« . . . . „ **150** zł

Mieczysław Mniszek-Tchorznicki »Oologia Ptaków Łownych« . . . . „ **120** zł

WYDAWNICTWA RÓŻNE:

Kalendarz Myśliwski na rok **1948** . . . . . . „ **300** zł

Statut P Z Ł . . . . „ **25** zł

Zamówienia prosimy kierować pod adresem jak wyżej

Książki wysyłamy za zaliczeniem pocztowym

Jednodniówka „ŁOWIECTWO NA POMORZU"



Zapowiedziana z okazji 25-lecia Polskego Związku Łowieckiego jednodniówka „ŁOWIECTWO NA POMORZU" wyszła już z druku. Obejmuje 160 stron druku w dwubarwnej okładce formatu „Łowca Polskiego", zawiera 34 artykuły wybitnych autorów myśliwych z zagadnień łowieckich regionu Wielkiego Pomorza, streszczenie w języku francuskim oraz 74 ilustracje i mapy rozmieszczenia zwierzyny łownej.

Z uwagi na wysoki poziom fachowy i literackl artykułów, jak również piękną szatę graficzną, „ŁOWIECTWO NA POMORZU" spotka się niewątpliwie z dużym zainteresowaniem Kolegów-myśliwych, wzbogaci bibliotekę myśliwską i przyczyni się w dużym stopniu do zaznajomienia szerokiego ogółu z bogactwem łowieckim, reprezentowanym na ziemiach Zjednoczonego Pomorza.

Cena wynosi 300 zł. Zamówienia prosimy kierować pod adresem Pomorskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej w Toruniu, ul. Mickiewicza 9, zaś wpłaty dokonywać na konto czekowe w PKO Poznań, Nr V-4408 (właściciel konta: Polski Związek Łowiecki Pomorska Rada Wojewódzka w Toruniu) z odpowiednią adnotacją na odwrocie blankietu nadawczego.